



O RUSI
i
RUSINACH

przez

St. hr. Tarnowskiego.

652.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1891.

DK 508.7
T3

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Z jednego szczepu pochodzimy, mówimy językami tak podobnymi, że nie ucząc się ich, rozumiemy jedni drugich, wiarę mamy tę samą, choć obrządek inny, na jednej ziemi żyjemy, a od wieków mamy te same dzieje. Jednak nie jesteśmy tem samem co Rusini, a oni nie mają się za to samo, co my. Nieraz słyszy się nawet, że są między nami a nimi jakieś dawne waśnie i wzajemne do siebie żale. Dlaczego przy wspólnem pochodzeniu, wspólnej wierze i ziemi, niema takiej ufności i zgody jaka być powinna? kto temu winien? kto kiedy drugiemu zrobił co złego, i ile złego? Warto o tem wiedzieć i to dobrze rozważyć. Dlatego to postanowił *Krakus* przypomnieć i to co za dawnych czasów między nami było, i to co za naszych czasów świeżo się działo i dzieje. Nie będziemy ani swoich przeciw prawdzie bronić, ani drugich niesłusznie oskarżać. Powiemy rzetelnie co było, i co teraz jest. Kto chce, żeby było lepiej, ten naprzód musi wiedzieć dokładnie jak się rzeczy naprawdę mają. My chcemy żebyśmy mogli z Rusinami żyć w zgodzie i ufności rzetelnej, i dlatego chcemy, żeby czytelnicy nasi wiedzieli dobrze, jakie były dawniej stosunki między Polakami a Rusinami, i jakie są teraz.

Ruś za najdawniejszych czasów.

Rusini mieszkają na ogromnej przestrzeni ziemi, która od Sanu i Bugu rozlega się aż do Dniepru i dalej, a od gór Karpackich i od stepów idących ku Czarnemu Morzu, dochodzi na północ aż do rzeki Dźwiny i Inflanckiej ziemi. Na tej wielkiej przestrzeni leży Ruś Czerwona, dziś nazywana Galicyą Wschodnią, a pod rządem rosyjskim część Królestwa Polskiego (Chełm i Podlasie), Wołyń, Podole, Ukraina, Polesie i Białoruś czyli wschodnia część Litwy. Litwa właściwa także w większej połowie zamieszkała jest przez Rusinów.

Język ich jest jakoby pośredni pomiędzy polskim a rosyjskim, do obu podobny, a od obu różny. O ziemie te toczyły się walki między Polską a Rosyą przez całe wieki.

Wiarę Chrześcijańską przynieśli Rusinom pierwsi święci apostołowie Cyryll i Metody, Grecy z pochodzenia, a przez Papieża z Rzymu na nawracanie Słowian posłani. W katolickiej też wierze byli Rusini ochrzczeni; tylko na to żeby łatwiej do tej nowej wiary przystali, pozwolił Papież, iżby Msza św. i inne obrzędy odprawiły się nie w łacińskim, ale w słowiańskim języku. Ztąd początek osobnego obrządku Rusinów. Działo się to w dziewięćset prawie lat po Narodzeniu Chrystusa Pana.

Ale wiara katolicka zaszczerpiona w niektórych stronach Rusi, nie zdołała utrzymać się długo. Panował nieco później nad tą wielką Rusią potężny książę Włodzimierz,

Wielkim nazwany: stolicę swoją miał w Kijowie. Ten ożenił się z siostrą greckiego cesarza, i przyjął chrzest, i naród swój ochrzcił. Ale to cesarstwo greckie już się wtedy było od jedności Kościoła odszczepiało, i swój osobny schyzmatycki Kościół, przeciw powszechnemu zbuntowany zakładało.

Kiedy Włodzimierz chrzest przyjmował, byli ci Grecy znowu do jedności z Kościołem chwilowo wrócili, on zatem ochrzczony był w obrządku greckim, ale w wierze katolickiej. Rychło po jego śmierci wszakże oderwali się Grecy od Kościoła na dobre, i pociągnęli za sobą tych Słowian, którzy od nich chrzest św. przyjęli. Między innymi książęcia kijowskiego Jarosława. I odtąd zostali Rusini schyzmatykami, aż do czasu kiedy ich po długich wiekach Polska znowu do prawdziwej wiary nawróciła.

Za tego Włodzimierza także zaszły pierwsze targi pomiędzy Polską a Rusią. Najstarszy dziejopis ruski, kijowski Mnich Nestor, opowiada w swojej księdze, że Włodzimierz „wyprawił się na Lachów i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne“. Z tego się pokazuje, że za tego Nestora czasów kraj później Czerwoną Rusią nazwany, należał do Lachów (Polaków) i przez Rusinów samych za polski był uważany. Nasz król Bolesław Chrobry pokój z Włodzimierzem trzymał, a nawet córkę swoją wydał za jego syna Światopelka. Ale gdy po Włodzimierza śmierci młodszy bracia tego Światopelka z Kijowa wygnali, Bolesław poszedł zięciowi na pomoc, Kijów zajął w roku 1018, (a na bramie jego wyszczerbił swój miecz, który potem królom polskim przy koronacji przypasywano), Światopelka na tronie osadził, a zabrane „grody lackie“ napowrót odebrał, i do swego państwa przyłączył.

Kiedy po zabiciu św. Stanisława Bolesław Śmiały musiał z Polski uchodzić (rok 1079), a tu u nas panował jego brat Władysław Herman, dość niedołężny, znowu książęta ruscy odebrali nam te „Czerwieńskie grody“. Ale między sobą waśnili i bili się nieustannie, rozradzali się też licznie, a wskutku tego na coraz drobniejsze księztwa się dzielili. Z tego wynikło, że księstwo kijowskie straciło swoje znaczenie. Wzrastać zaczęło inne, daleko ku Wschodowi położone, Suzdalskie, z którego pomału wyrosła dzisiejsza Rosya. Tutaj zaś u nas, na Rusi Czerwonej podniosło się Księstwo Halickie, które przez pewien czas było znaczne, zwłaszcza odkąd się z Włodzimierskiem (na Wołyniu) pod jednym księciem złączyło. Napadało nawet na Polskę, choć jej zwierzchnictwo nad sobą było dobrowolnie uznało: ale książę Roman przez naszego Leszka Białego na głowę pobity pod Zawichostem, sam w tej bitwie poległ (rok 1205).

Po jego śmierci nastąpiło znowu zamieszanie wielkie w Haliczu. Książęta zmieniali się ustawicznie, jedni udawali się o pomoc do Polski, drudzy do Węgier. Węgrzy mieli ochotę nie małą rozszerzyć swoje panowanie na tę stronę Karpat, i udało im się wreszcie królewicza swego Andrzeja z córką halickiego księcia ożenić, i na halickim tronie osadzić. Nie na długo wszakże, bo wypędził go rychło książę Włodzimierski Daniel. Ten znowu wrócił do jedności z Kościołem, przyjął Unię, od Papieża dostał królewską koronę, miasto Lwów założył (od swego syna Lwa je nazwał), ale za jego czasów spadło straszne na Ruś i na Polskę nieszczęście — Tatarzy! (rok 1241).

Do nas oni wpadli, przelecieli cały kraj aż za Wrocław, spustoszyli, zrabowali, wymordowali co spot-

kali, ale jak wpadli tak prędko i poszli. Rusi było gorzej. Kraje Moskiewskie Tatarzy opanowali zupełnie, książęta musieli im hołdować, służyć, i haracz opłacać; a ztamtąd do Rusi było Tatarom niedaleko. Zmusili też Daniela, że swoje zamki i miasta poburzył, w napadach na Polskę im pomagał (to samo robił po nim jego syn Lew), a Podole trzymali jak swoje. Osłabioną, rozdrobnioną na małe księstwa, niezgodną w sobie Ruś, opanował potem potężny Wielki książę Litewski Gedymin (rok 1319). Podole jedno zostało przy Tatarach; niepodległym zostało tylko księstwo Halickie, a i to zmniejszone bardzo i słabe.

Niebawem wygasł tam ród książęcy. U nas panował wtedy Kazimierz Wielki, spokrewniony z ostatnim księciem halickim, a przez to uważający się za jego prawnego spadkobiercę i następcę. Zajął też Halickie i Włodzimierskie (Wołyńskie) ziemie; opierało mu się dwóch panów ruskich, którzy z Tatarami się połączyli i na Polskę ich wezwali, ale pobici z królem się pogodzili. Dłużej musiał wojować z Litwą, która wszystkie ruskie kraje zagarnąć chciała; wojna skończyła się na tem, że Litwa wzięła Wołyń, a księstwo Halickie zostało przy Polsce (1340). W kilka lat później wszakże zgodnym sposobem oddała Litwa Kazimierzowi połowę Wołynia.

Kazimierz nie zmuszał Rusinów do przyjęcia katolickiej wiary, ale dbał o to by ją dobremi, spokojnymi sposobami rozszerzyć. Zakładał katolickie biskupstwa, w Przemyślu, Chełmie, Haliczu; we Lwowie zaczął budować katedrę, która później stała się arcybiskupią. Katolicy, których między Rusinami była zawsze pewna liczba, zwłaszcza odkąd św. Jacek pracował około ich nawrócenia, dostali przez to pasterzy i większą

dla dusz swoich opiekę. Ale schyzmatyków nie tylko Kazimierz nie prześladował, lecz owszem założył im własne Arcybiskupstwo, tak że w swoim kraju mieli całą swoją zwierzchność kościelną.

Po śmierci Kazimierza wstąpił na tron polski jego siostrzeniec Ludwik, król węgierski. Ten jak w niczem Polsce szczerze nie sprzyjał, tak i Ruś od niej chciał oderwać, a do Węgier przyłączyć. Ale ostrożny nie śmiał tego zrobić odrazu, tylko nieznacznie. Postawił nad Rusią wielkorządcę swego, Władysława księcia Opolskiego, jako lennika, a w kilka lat później wcielił poprostu księstwo Halickie do swego Węgierskiego królestwa.

Umarł Ludwik. Po niedobrym dla Polski ojcu nastąpiła najlepsza córka, świętobliwa królowa Jadwiga. Dla rozkrzewienia wiary, i dla ubezpieczenia i wzmocnienia Polski, poświęciło się błogosławionej pamięci dziewczę. Wyrzekła się królowa narzeczonego, którego kochała: oddała rękę Jagielle, Litwinowi i poganinowi. Ten za to z całą Litwą swoją chrzest św. katolicki przyjął, a zamiast dawnych nieprzyjaźni i wojen, nastąpiło braterskie połączenie Litwy z Polską. Tym sposobem Jadwiga cały naród jeden dla wiary i Kościoła pozyskała, a Polskę zrobiła wielkiem, rozległym, potężnym państwem (1386). A że Litwa miała już część większą Rusi, więc przez połączenie swoje z Polską, złączyła z nią Litwa i te ziemie także.

Pozostawała Ruś Czerwona, Halicka, przez Węgrów opanowana i trzymana. O tę upomniała się Jadwiga jako prawna dziedziczka po ojcu Ludwiku, i po Kazimierzu Wielkim. Kiedy król Jagiełło nawracał Litwę, ona sama na czele wojska wyprawiała się na Ruś. Ale

jej nie wojowała. Wojny nie było. Ledwie na ruską ziemię wstąpiła, wyszli naprzeciw niej do Jarosławia posłowie przemyskiej i lwowskiej ziemi, prosząc aby te ziemie na wieki z Polską złączyła. W Haliczu tylko opierała się węgierska załoga, ale się poddać musiała.

Królowa odprawiła uroczysty wjazd do Lwowa (1387), a wszystkim tym swoim nowym poddanym, jakiegokolwiek krwi i wiary, potwierdziła te wszystkie prawa i przywileje, jakie im niegdyś Kazimierz Wielki był nadał.

Tak się dokonało przyłączenie Rusi do Polski. A bez tego przyłączenia co byłoby się stało z Rusią? Litwa, napastowana z jednej strony przez niemieckich Krzyżaków, z drugiej przez Tatarów, bez Polski nie byłaby zdolna długo bronić się jednym i drugim: a gdyby Tatarzy byli opanowali tę część Rusi, która była pod Litwą, to łatwo potem byliby wzięli i Halicką ziemię. Węgrzy z za Karpat nie byliby potrafili jej obronić. Dla Polski byłoby to niebezpieczeństwo i nieszczęście wielkie, mieć Tatarów w tak blizkiem sąsiedztwie. Ale Ruś byłaby zginęła ze szczętem. Ludzi byliby Tatarzy w niewolników swoich obrócili, wiarę chrześcijańską byliby wytępiili bez litości, a swoją bisurmańską byliby zaprowadzili. Dla Rusi więc i dla Litwy, jak dla Polski, było to połączenie wielkiem szczęściem, wielką zasługą tych co to sprawili, i wielką łaską Bożą. Jakaśmy z tej łaski korzystali, czy tak pilnie i mądrze jak należało, to zobaczymy w dalszem opowiadaniu.

II.

Ruś w połączeniu z Polską.

Za króla Jagielly i jego potomków, przez lat blisko dwieście nie znać żadnej między Polakami a Rusinami nieprzyjaźni. Na ogromnych, bardzo żyznych, a mało zaludnionych przestrzeniach ruskiej ziemi, osadzała się licznie polska szlachta, za nią i lud roboczy; rzemieślnik i kupiec ciągnął do miast. Bogacili się tam Polacy szybko, ale Rusini patrzali na to bez zawiści. Krzywdy przez to nie mieli, bo ziemi i dostatku starczyło dla wszystkich: a korzyść mieli wielką, bo im gęstsza stawała się ludność, tem większa nadzieja obrony przeciw napadającym ustawicznie z Krymu Tatarom: tem więcej miast oszańcowanych i zamków. Szlachta ruska przyjmowała chętnie obyczaj polskiej, która była więcej od niej oświecona i ogładzona, a w swobodach, jakie jej polskie prawa zapewniały, czuła się szczęśliwszą, niżeli dawniej pod samowolnemi rządami swoich książąt. Lud prosty, choć do powinności poddańczych obowiązany, nie był niemi wtedy jeszcze przeciążony. Łączył się też niekiedy (głębiej na Ukrainie) dla bezpieczeństwa swoich siedzib w zbrojne drużyny, które były początkiem późniejszej kozaczyzny. Rodowej, plemiennej nienawiści, z powodu czy krwi, czy języka czy wiary, w tych czasach nie widać. Z kancelaryi królów polskich wychodzą często do ruskich poddanych pisma w ich języku: małżeństwa łączą jednych z drugimi związkami krwi i przyjaźni. Podnosi się uprawa roli, bogactwo i handel, miasta kwitną, ludność dwóch

szczepów miesza się z sobą coraz bardziej; wpływ i obyczaj polski, polska oświata i prawo wsiąkają coraz bardziej w ruską ziemię, a Polacy jak Rusini czują i wiedzą, że mają jedną wspólną ojczyznę, a żadnej innej mieć ani znać nie chcą.

Jeden z naszych najlepszych pisarzy historii polskiej, Karol Szajnocha (zmarły we Lwowie przed laty przeszło dwudziestu), opowiada w swoich dziełach, jak Ruś polszczała, a przykład tego polszczenia daje na losach jednej rodziny:

Żył gdzieś pod Chełmem szlachcic jeden ruskiego pochodzenia a greckiej wiary, nazywał się Fedor Wereszczyński. Jego żona miała dwóch braci, obu w stanie duchownym: ale kiedy jeden został w swojej wierze, drugi przeszedł na katolicką i był kanonikiem w Krasnymstawie. Siostra tych księży a żona Wereszczyńskiego, spodziewała się pòłogu, a wtedy oba bracia o tem tylko myśleli, żeby w swojej wierze ochrzcić to dziecko, które miało przyjść na świat. Trafem jakimś kanonik katolicki znalazł się w domu zaraz po urodzeniu, i ochrzcił chłopca po katolicku. Ojciec, schyzmatyk twardy, gniewał się o to bardzo, a nawet stracił całkiem serce do biednego małego łacinnika, tak że go i chować nie chciał. Wziął tedy wuj kanonik małego Andrzeja do siebie, wychował, a potem oddał do wojska. Młodzieniec bił się dobrze, odznaczył się pod Obertynem, potem ożenił się majątnie, a wtedy wybrał się do ojca, żeby jakoś jego łaskę pozyskać. Cóż tam zastał? Gospodarstwo w nieładzie, pola nieobsiane, starych rodziców w kłopotach i prawie w biedzie. Ale że sam był dzielny i zasobny, i zdrów i młody, więc zaczął zaraz ojca w gospodarstwie wyręczać, własnym groszem i pracą i głową dopro-

wadził majątek do porządku, ojcom spokojną szczęśliwą starość zapewnił: i zacięty Rusin przed śmiercią dziękował Panu Bogu za to, że mu się syn zlaszył... Tak Ruś polszczała! Wplywem większej oświaty i sprawności, dobrodziejstwem obrony i bezpieczeństwa.

Dom Jagielloński wygasł: na tronie polskim zasiadł Stefan Batory, i między wieloma mądrymi i wielkimi dziełami zajął się także i sprawami Rusi.

Powiedzieliśmy już, że poniżej Kijowa, po obu brzegach Dniepru, w pustych stepach osiadali ludzie, których nazywano Kozakami. Byli między nimi i Polacy, (szlachta jak włościanie), i Wołosi, i Węgrzy, i czasem nawet Tatarzy, ale najwięcej Rusinów. Dużo zaś było takich co nie mieli z czego żyć, lub zmarnowali to co mieli, i nie wiedzieli co z sobą począć. Liczba ich pomnożyła się znacznie w ciągu stu lat. Byli to ludzie do boju odważni, do napaści skłonni, hardzi, zuchwali, chewi lupu, a przywykli żyć w nieograniczonej swobodzie, bez żadnej nad sobą zwierzchności. Żyli z polowania, rybołówstwa, i wypraw wojennych: uprawą roli prawie się nie trudnili. Taki lud zbrojny a zuchwały, mógł się stać bardzo niebezpiecznym, bo i sąsiednie województwa polskie mógł napadać, i częstemi wyprawami na Brzegi Czarnego Morza, na tureckie miasta, mógł zawsze dać Turkom powód do wojny z Polską. Król Batory niebezpieczeństwo to widział, a razem miarkował, jak ten lud wojenny, a na pograniczu osiadły, mógł doskonale zasłaniać Polskę i Chrześcijaństwo całe od Tatarów: byle go tylko w ścisłej wojskowej karności utrzymać. Ta część kozaków, która mieszkała na prawym (bliższym od nas) brzegu Dniepru, była zawsze spokojniejsza; dała się podzielić na pułki, i służyła za

taką graniczną wojskową załogę. Ale kozacy za Dnieprem żyli po żołniersku, w wielkim obozie, który nazywali Siczą. Żon nie mieli, a nad sobą nie uznawali nikogo, prócz Hetmana, którego sobie sami wybierali. Ci i za Batorego w porządne karby ująć się nie dali: ale przynajmniej jak długo on żył, słuchali go, nie zaczepiali nikogo, a mogli się bardzo przydać w wojnie przeciw Turkom, którą król z Papieżem Syxtusem Piątym potajemnie przygotowywał.

Po śmierci Batorego zaczęły się te sprawy psuć.

Im więcej przybywało ludności na Ukrainie, tem była większa potrzeba uprawy roli, żeby tę ludność wyżywić. Z tego wynikło, że miejscowy lud aż dotąd do powinności poddańczych nie nawykły, musiał je odrabiać, jak w całym kraju, i jak w owych czasach na całym świecie. Co zaś było gorsze, to że tam na Ukrainie leżały ogromne majątki wielkich panów, którzy sami zamieszkali daleko, ziemię te oddawali w zarząd zawiadowcom lub dzierżawcom, a ci nie pilnowali jak należało, zdzierali ludzi, krzywdzili i uciskali ich często na różne sposoby. Do dziś dnia lud tamtejszy z gorzkim żalem wspomina takiego dzierżawcę żyda, który trzymał u siebie klucze od cerkwi, a za otwórczenie jej na nabożeństwo kazał sobie płacić.

Takie były powody żalu i gniewu Rusinów. Ale miała i Polska swoje znowu powody żalu do Kozaków. Zaczepiali oni ustawicznie to Tatarów, to Turków: a że byli poddanymi Rzeczypospolitej, więc za te zaczepki mścili się na niej Bisurmanie. W ciągu pięciu lat miała też Polska pięć napadów tatarskich, spowodowanych kozackimi zaczepkami. Postanowiła tedy trzymać ich w lepszym posłuszeństwie. Kozaków osiadłych (na pra-

wym brzegu Dniepru) oddała pod rozkazy Hetmana koronnego (naczelnego wodza wszystkich wojsk), a tych drugich Zadnieprskich zaczęła ujmować w wojskowy porządek, spisywać i dzielić na pułki. To się Kozakom nie podobało. Dwa razy podnosili oni bunt. Ten był zaraz stłumiony: ale żal i niechęć zostały i odezwały się później.

W tym samym czasie dokonała się rzecz wielka i doskonała, która mogła mieć skutki błogosławione i trwalsze niżeli miała, gdybyśmy tylko byli ją pielęgnowali gorliwiej: Unia kościelna.

Katolicka i wierna Polska miała połowę swoich poddanych w obcej, fałszywej, greckiej wierze. Gwałtem ich do swojej nawracać nie myślała, bo to się nie godzi: to nie chwala lecz obraza Boska, a nad ludźmi okrucieństwo. Ale miała Polska święty obowiązek dbać o zbawienie tych swoich poddanych, i łagodnymi sposobami starać się o to, żeby oni do prawdziwej wiary wrócili. Kiedy więc uporała się już z luterstwem, tak że ono nie tylko nie szerzyło się dalej, ale owszem w oczach malało i do jedności z Kościołem wracało, zaczęła Polska myśleć o nawróceniu schyzmatyckich Rusinów. Już Stefan Batory szukał sposobu, jakby to zrobić bez przymusu, uczciwie, a pewnie. Za jego następcy Zygmunta III znalazł się ten sposób. Pracowali nad tem gorliwie katolicy polscy, pracował zakon Jezuitów (a zwłaszcza wielki kaznodzieja ksiądz Skarga), i pracował Papież w Rzymie. Ten miał nadzieję, że nawrócenie Rusinów będzie początkiem nawrócenia wszystkich schyzmatyków (moskiewskich, greckich i Słowian południowych, Bułgarów i Serbów). Wiedział zaś, że

byle wiara była jedna i tasama, to Kościół pozwala na rozmaity zewnętrzny kształt nabożeństw, czyli obrządek. Za czasów, kiedy Kościół był jeszcze jeden i nierozzerwany, Grecy odprawiali Mszę św. w swoim języku i w porządku innym jak nasz łaciński: Słowianie (ruscy czy południowi) także. Wiedział zaś Papież, Klemens Ósmy, i wiedzieli Polacy, że te wszystkie narody, bardzo są przywiązane do swoich obrzędów; i myśleli, że gdyby im się zostawiło ten obrządek, a nawet dla księży wolność żenienia się ¹⁾, to w takim razie może oni wiarę katolicką przyjmą i Papieża za Głowę Kościoła uznają. Zaczęto więc naradzać się z Biskupami ruskimi, czyby oni z ludem swoim pod temi warunkami do jedności Kościoła nie wrócili. Było ich kilku bardzo tej sprawie przychylnych i w niej gorliwych, mianowicie: Biskup Włodzimierski Hipacy Pocij Biskup, Łucki Cyryll Terlecki, Odbył się tedy synod tych wszystkich biskupów w Brześciu Litewskim w roku 1595, i na tym synodzie oni Unię kościelną przyjęli i zaprzysięgli, i do Papieża posłów z oświadczeniem posłuszeństwa wyprawili. Wszelako wielu świeckich, i dwóch biskupów z dyecezyami swemi (lwowski Bałaban i przemyski Kopystyński) nie przystali na Unię i w schyzmie greckiej jeszcze na lat sto dwadziesiątka zostali. Ci z Rusinów, którzy do Unii nie przystali a było ich dużo, powzięli za nią głęboką nienawiść do Polski, do katolickiego Kościoła i duchowieństwa, a

¹⁾ Księża ruscy mogą mieć żony, ale muszą je pojąć jeszcze przed przyjęciem święceń kapłańskich. Ksiądz, który owdowiał, już się powtórnie żenić nie może. Biskupem może być tylko bezżenny.

zobaczę do kłamców. I w tym był pewnie drugi ich
 grzeszniejszy buntów. Czy też Polaka w tej sprawie
 krytykując, powiedział do swojej wiary zamieszka, jak
 niektórzy z nich chcą mówić i pisać? Kiedy Polak! Przy-
 mami, powiedz, prześladowanie, nie było żadnego. Niktogo
 o wiarę nie porzucił, nie odstąpił; niktogo za nią nie
 zamętkano w więzieniu, a temu kłamcy nie skazywano
 na śmierć, co się w innych krajach w owym czasie
 zdarzało. Świadczą prześladowania i gnania Polaka nie
 ma do sumienia: nie ma żadnej ścieżki wiary — zamilcze-
 nie. Zamilcze ona przez wielką, białą i karmazynową i jej
 niegdy wyjęć nie odwrócić, ciemność i karmazyn: nie roz-
 bliwiony ja, grzesznie było mówić się o to, żeby to kłam
 porzuciła do siebie i przywrócić ludzi niktogo za
 prześladowanie i za wiarę, nie mówić za politykę. Kłamało
 duchownym z zobaczę biskupów niktogo, nadał taką
 powagę i zamieszka jak wielu kłamcy. Długości prze-
 śledownictwem przyznał im niktogo w politykę mówić,
 co oni sobie zamierzali i co im było przyznawane. To
 się nie stało. Władza raska była już w wielkiej części
 przecznie na wiarę katolicką z obrzydkiem kłamstwem:
 o sumieniu wiarę i zamieszka obrzydkiem grzesznego nie
 stworzyła się: lud grzesny, niktogo, lud niktogo
 władza niktogo nie mogła zomy obrzydkiem być niktogo
 i skutecznym opieką, i niktogo grzesno, że on został
 w powrocie grzesznie i niktogo. Cwał je żywo, a
 je w niktogo obrzydkiem się w niktogo do niktogo — nie niktogo
 niktogo.

Z tego zaś gniwo na kłamców, katolików i kłam-
 ców, jako był w kłamstwie obrzydkiem, stworzył
 niktogo to lud: nie niktogo. Cwał niktogo, jak się

z pod Tatarów wyzwolili, myśleli ci wielcy księżęta a później carowie o tem tylko, jakby ruskie kraje od Polski oderwać, a do swego państwa zagarnąć. Ale nas królowie bronili się dobrze i skutecznie. Teraz kiedy carowie zobaczyli w Rusinach schyzmatykach niechęć do Polski o Unię, postanowili za tę niechęć ich uchwycić i pomału do siebie ciągnąć. Pod pozorem tej samej (niby uciśnionej i prześladowanej) wiary, zaczęli uważać się niby nad nieszczęśliwymi, a jątrzyć i rozpalać w nich nienawiść do Polski i do Kościoła. Za ich to sprawą, z ich namowy, rozjuszony pospólstwo zamordowało w Witebsku Arcyciskupa Połockiego Józefata Kuncewicza (1623) i pastwiło się okrutnie nad jego ciałem ¹⁾.

Zawsze tak bywa, że kiedy się zlego w samych początkach nie powstrzyma, to ono rośnie, aż wyrośnie tak, że rady na nie już niema. W naszym stosunku z Rusią było dwojakie zło: samowola Kozaków, i nadużycia wielkich panów (lub ich zastępców) względem ludności ruskiej. Gdyby u nas król miał prawdziwą władzę w ręku, byłby obie te samowole poskromił i w korbach trzymał. Ale to nasze nieszczęście, żeśmy

¹⁾ Ale ciało to zaraz po śmierci Bóg cudami odznaczył, i wskazał jako ciało świętego. Za takiego też czczony, przez Papieża Urbana Ósmego uznany błogosławionym, przez papieża Piusa Dziewiątego w roku 1867 był kanonizowany czyli ogłoszony za Świętego. Ciało jego z obawy, żeby go Moskale nie wyrzucili i nie znieważyli, wywiezione było z Połocka i złożone w Białej na Podlasiu. Ztamtąd zabrali Moskale święte relikwie, gdy zaczęli swoje ostatnie prześladowania Unii, a co z nimi zrobili, niewiadomo.

wolność do zbytku cenili, a władzę nie dosyć, dalo się nam we znaki i w tych sprawach także. Nadużycia Polaków i zuchwałości Kozaków, przez nikogo na wodzy nie trzymane, wzmagały się coraz bardziej, aż wreszcie doprowadziły do buntu i do wojny domowej.

Gdy Kozacy nieustannie niepokoili Turków, a przez to mogli ściągnąć ich nawałę na Polskę, postanowiono zbudować nad Dnieprem twierdzę, i osadzić w niej polską załogę, któraby Kozaków miała na oku i trzymała ich w posłuszeństwie. Twierdza ta nazywała się Kudak. Zburzyli ją Kozacy. Powstał z tego rozruch na Ukrainie, tem zakończony, że Kozacy sami wydali Polakom swoich wodzów, Sulimę i Pawluka, a ci byli ukarani śmiercią. Na tem już należało poprzestać. Ale my zawiniłszy bardzo, a postąpili nieroztropnie, żeśmy na tem nie poprzestali, tylko Kozakom za karę wszystkie ich swobody i przywileje odebrali, a w poddanych ich obrócili. Podnieśli oni wtedy nowy bunt, ale ten stłumiony był rychło, a Kudak odbudowany.

Przywrócił się tym sposobem pokój na lat dziesięć, ale nie prawdziwy pokój, tylko pozorny. Uciśniona ludność milczała, ale w duszy chowała nienawiść i czekała tylko sposobności, żeby się pomścić.

Sposobność nadarzyła się rychło.

Żył na Ukrainie Bohdan Chmielnicki, Polak z pochodzenia i szlachcic, a u Kozaków Pisarz (wysoki pod hetmanem urzędnik). Temu Czaplinski pewien, Polak i szlachcic, uwiódł żonę, a syna batogami oćwiczył. Zawrzała zemsta w sercu Kozaka: a że był dzielny i żołnierz dobry, nad swoimi miał wielką przewagę, więc ich oddawna na Polskę rozżalonych, łatwo do buntu namówił. Ale Kozacy sami nie byłiby Polsce dali rady.

Porozumiał się więc Chmielnicki z Tatarami, zawarł z nimi przymierze, i ułożył wspólną wyprawę na Polskę. Hetman wielki koronny, Mikołaj Potocki, wysłał przeciw nim swego syna Stefana, ale ten był pobity. i sam w boju (pod Żółtymi Wodami) poległ. Wyszli potem hetmani sami, Potocki i Kalinowski, przeciw Tatarom i Kozakom: przegrali bitwę (pod Korsuniem), i sami dostali się do niewoli.

Działo się to w roku 1648, a na wieść o tem nieszczęściu, umarł król, Władysław Czwartry. Bez króla, i bez hetmanów (bo byli w niewoli) zebrała Rzeczpospolita wojsko, ale to wojsko, kiedy zobaczyło Tatarów i Kozaków pod Piławcami, zamiast się bić, uciekło sromotnie z pola. Jedyny to taki wstyd w całych naszych dziejach.

Potem już wojska nie było żadnego: Tatarom i Kozakom droga stała otworem gdzieby chcieli, aż w sam środek Polski. Zajęli całe Podole, Wołyń, Ruś Czerwoną: oblegli Lwów, spalili przedmieścia; miasto bronilo się dzielnie, a w końcu ciężkim okupem uwolniono się od oblężenia. Potem oblegli Zamość. Ale gdy przez ten czas w Warszawie wybrano nowego króla, Jana Kazimierza, brata nieboszczyka Władysława, a ten zaraz przyrzekł, że wyprawi posłów, żeby się z Kozakami układali, wrócił Chmielnicki na Ukrainę.

W tych układach wszakże Chmielnicki żądał takich rzeczy, na które król i Sejm zgodzić nie mógł (naprzykład zniesienia Unii kościelnej), i wybuchła wojna powtórna.

W tej znowu trzysta tysięcy Kozaków i Tatarów oblegało małe siły polskie w Zbarażu. Na pomoc ciągnął król z wojskiem. Potrafił zręcznie pogodzić się z Tatarami: opłacił się im drogo, i to sprawił, że od-

stąpili Kozaków. Ci znowu sami z Polską bić się nie mogli, i przystali na warunki, z których miała wynikać zgoda.

Tym razem Polacy już powodu do wojny nie dali, ale we dwa lata później nietylko ją Chmielnicki podniósł na nowo, ale różnych sąsiadów przeciw Polsce podburzał, w Rzeczypospolitej samej chciał wywołać rozruchy: myślał o tem, żeby całą Ruś od Polski oderwać, i zrobić z niej osobne królestwo dla siebie. Ale pobił go król na głowę pod Beresteczkiem (1651). Ze zwycięstwa tego nie skorzystaliśmy jak należało, bo zamiast nieprzyjaciela osłabionego ścigać, nasze popo-
lite ruszenie poprzestało na jednym zwycięstwie. Jednak przydało się ono na to, że Chmielnicki zawarł z nami w Białocerkwi ugodę, która miała niby być wieczystą. Ale jej nie dotrzymał. Marzyło mu się o królestwie. Wyprawił się na Multany, hospodara wołoskiego zmusił, że córkę dał w małżeństwo jego synowi: chciał Ukrainę z Multanami i Wołoszczyzną połączyć, i na tym nowym tronie tego syna pod tureckiem zwierzchnictwem osadzić. Umawiał się już o to z sułtanem. Ale zawiodło go na końcu szczęście. Turcy mu niedowierzali, Tatarzy pogodzili się z Polską, Kozacy zmiarkowali, że on o koronie dla siebie myśli i zaczęli go podejrywać. Zmiarkował, że królem udziałnym nie będzie, z Polską godzić się nie chciał: Turkom chciał się poddać, ale umowa z nimi szła trudno: u swoich wziętość tracił. Nie wiedząc co dalej począć, stracił głowę. Zbyt dumny, a nie dość sumienny na to, by przyznać że źle robił, upoił się swoją pychą, i jak pijany zatoczył się pod nogi cara moskiewskiego. Poddął mu kozaczyzną z całą Ukrainą Zadnieprską.

Na to też tylko czekał car Aleksy. Podszczywania Kozaków przeciw Polsce, teraz przyniosły mu swój owoc. Ale Chmielnicki zawiódł się srodze, i zaraz po swoim złym czynie odniósł karę. Kiedy się z carem o to poddanie układał, wymawiał sobie dla Kozaków wszystkie swobody, dla siebie samego stanowisko niezależne Hetmana Ukrainy pod zwierzchnictwem cara. Car warunki te przyjął. Ale ledwo Chmielnicki wykonał mu przysięgę, kiedy zaraz Kozakom prawa i przywileje odebrał, w zwykłe wojsko pod swoimi rozkazami ich zamienił, a Chmielnickiemu zostawił marny tytuł hetmana bez władzy nad wojskiem i ludem. Wtedy on pomiarował co zrobił, chciałby był się cofnąć: ale było za późno. Chwyciła go żelazna ręka, i nie wypuściła. Po jego śmierci chcieli Kozacy powrócić do Polski: hetman Wyhowski powstał przeciw Moskwie. Ale Polska zajęta wojną szwedzką i moskiewską wesprzeć go nie mogła, i uległ. Od tego czasu Kozaczyzny już nie było: były tylko i są pułki lekkiej konnicy rossyjskiej, Kozakami nazwane, ze srogości i rabunków sławne, ale dawnej wolności, dawnego własnego życia pozbawione.

Dla Polski bunt Chmielnickiego i utrata Ukrainy Zadnieprskiej były wielkiem nieszczęściem. Była to pierwsza wielka klęska, która ją osłabiła strasznie, a przez to początek klęsk późniejszych i upadku. O ile zaś osłabiła przez to Polska, o tyle wzmocniła się Moskwa kiedy Kozaczyznę zagarnęła. Ale dla Polski był to tylko cios straszny: dla Kozaczyzny było coś gorszego, bo śmierć.

Wielka zaś jest w tych dziejach nauka, że krzywdę drugich opłaca się prędzej czy później własnem nieszczęściem, i że kto się na bliźnim chce mścić, ten tą

zemstą sobie samemu najwięcej robi złego. Polska nie była wyrozumiałą, ani niestety dość sprawiedliwą względem Kozaków, i z ich krzywdy wyniknął początek jej osłabienia i upadku. Chmielnicki chciał się na Polsce mścić, i zaszkodził jej okropnie to prawda, ale Kozaczyznę zgubił na zawsze.

Odtąd już o Rusi mało co słyhać w dziejach, a tylko widać stopniowe lecz stałe starania Moskwy, żeby ją całą pochłonię. W pokoju jaki ona, pobita w końcu, z królem Janem Kazimierzem w Andruszowie zawarła, zwróciła mu Litwę, Inflanty, Połock i wszystkie kraje polskie, jakie wojskiem swoim załała: ale Ukraina Zadnieprska już przy niej została, a na dwa lata wymówiła sobie posiadanie Kijowa, którego nie oddała już nigdy. W lat dwadzieścia później, kiedy król Jan III Sobieski układał wielką wyprawę na Turków, i cara moskiewskiego chciał do niej wciągnąć, car przyrzekł pomoc, ale pod warunkiem, że mu Polska Kijowa ustąpi. Król mniemał, że dla obrony chrześcijaństwa całego od Turków ofiarę tę zrobić powinien, uwierzył, zgodził się, i rzekł się Kijowa. Car dotrzymać ani myślał, na Turków nie poszedł, a na Kijowie dlatego nogę swoją postawił, żeby z niego dalsze kroki stawiać, i całą Ukrainę, całą Ruś, pomalu zagarnąć.

Raz jeszcze odezwała się dawna kozacka miłość swobody i niepodległości. Kiedy król szwedzki Karol Dwunasty wojował z carem Piotrem (synem Aleksego), i doszedł aż na Ukrainę, złączyła się z nim część Kozaków pod dowództwem Mazepy. Ale gdy on poniósł klęskę pod Półtawą, upadło i to kozackie powstanie.

Ruś ta, co pozostała przy Polsce, żyła z nią w spokoju. Część najburzliwsza, najuparciej schyzmatycka,

była zabrana przez Rosyę, i przez długi czas zaburzeń u nas nie podlegała. Dokonało się nawet do reszty zjednoczenie kościelne. W roku 1720, za króla Augusta Drugiego odbywał się w Zamościu synod wszystkich Biskupów unickich, i na tym synodzie, dwaj ostatni na Rusi Czerwonej biskupi schyzmatycecy, Lwowski i Przemyski, przeszli z dycieczami swemi na łono katolickiego Kościoła.

Dopiero kiedy za ostatniego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego, Moskale chcieli rządzić w Polsce jak u siebie, a szlachta tem oburzona zawiązała konfederacyę w Barze i zaczęła się z nimi bić, wtedy znowu za namową rosyjską odezwała się na Ukrainie (polskiej, po prawym brzegu Dniepru) dawna nienawiść do Lachów i katolików. Schyzmatycecy popi zaczęli lud jątrzyć i tłómaczyć mu, że robi rzecz miłą Bogu, jeżeli wyrznie Polaków i księży. Rozdawali święcone noże, zbierali gromady hajdamaków, stawali na ich czele. Zaczęła się straszliwa rzeź wszystkiego, co nie wyznawało schyzmatyckiej wiary, w której zginęło na Ukrainie do dwóchset tysięcy ludzi. W samem mieście Humanu dwadzieścia tysięcy: a od tego, że tam była najsroższą nazywa się ta rzeź Humańską. Okrucieństwa i pastwienia się było bez liku i bez miary, a to było rzecz zwyczajną, że hajdamacy na jednem miejscu wieszali razem szlachcica, księdza, żyda.

W końcu przelękli się Moskale, żeby się na ich własny kraj nie rozszerzyła, i pomagali polskiemu do poskromienia hajdamaków. Ale oni ten lud podburzyli w tej myśli, że jeśli hajdamaków na Ukrainie będzie mniej, to im łatwiej

ziemię tę zabrać, i lud tak opanować, że się pomalu na rosyjski przerobi.

I wreszcie zaczęła Rosya zbliżać się do swego prawdziwego, ostatecznego celu. Ledwo się konfederacya Barska skończyła, ona w porozumieniu z Prusami ogłosiła, że Polska jest powodem i ogniskiem ciągłych niepokojów i zaburzeń (kiedy Polska przeciwnie nigdy nie zaczęła nikogo), i pod tym pozorem ułożyła pierwszy rozbiór Polski (1772). Zabrała wtedy województwo Inflanckie i Białą Ruś, czyli wschodnią część Litwy. W lat dwadzieścia później, kiedy Polska poprawiła swoją konstytucyę i zniosła swój dawny nierząd w mądrej i sprawiedliwej ustawie 3-go Maja (1791), Rosya bojąc się jej wzmocnienia, ugodziła się znowu z Prusami, i zrobili drugi rozbiór, w którym zabrała resztę Białej Rusi, Ukrainę po prawym brzegu Dniepru, Podole i część Wołynia i Polesia (1793). A kiedy po tym gwałcie naród polski z rozpaczy podniósł powstanie, kiedy później naczelnik jego Kościuszko, ranny dostał się do niewoli a sprawa upadła, wtedy nastąpił trzeci i ostatni rozbiór Polski (1795). Polska przestała wtedy być państwem niepodległym, a Ruś całą zabrała Rosya, prócz jednej Rusi Czerwonej (dzisiejszej Galicyi wschodniej), która się dostała pod panowanie austryackie.

III.

Rusini pod panowaniem rosyjskiem.

Wspomnieliśmy już, że wielcy książęta moskiewscy jak tylko wyswobodzili się z tatarskiej niewoli, zaczęli pożądać zdobyczy, a przedewszystkiem ziem ru-

skich należących do Polski i Litwy. Wkrótce potem dali oni sobie nazwę „carów wszech Rusi“ dając tem niby do poznania, jakoby wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud mówiący ruskim językiem, były ich: jakoby lud ruski był tym samym co rosyjski, a język ruski małą tylko odmianą rosyjskiego: (tak niby jak u nas, gdzie góral z Karpat mówi trochę inaczej jak Mazur z pod Warszawy, a przecie oba mówią po polsku). Nie jest to prawda, bo i lud i język ruski jest osobny. Ale zuchwale oszukaństwo często udaje się mocnemu, bo ludzie jedni boją się zaprzeczyć i ze strachu udają, że wierzą; a drudzy obojętni nie troszczą się, bo ich to nic nie obchodzi. I tak to moskiewskie kłamstwo utarło się w świecie, a dziś wszystkie narody obce, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi, myślą i wierzą, że to prawda: że wszyscy Rusini są (z małą różnicą w mowie) czystymi Rosyanami.

Pierwsza zmiana, jaka spadła na Rusinów kiedy przeszli pod panowanie rosyjskie, była ta, że poddani stali się własnością swoich panów. W Polsce było poddaństwo, (jak wówczas na całym świecie); była pańszczyzna, i była tak zwana adskrypcya do gleby, czyli że poddany nie mógł ze swojej wsi się wynieść, a gdzieindziej zamieszkać, jeżeli mu pan na to nie pozwolił. Ale teraz Rosya zaprowadziła w tych ziemiach swoje prawo o poddaństwie, jakiego w żadnym katolickim kraju (i w żadnym innym w Europie prócz Egiptu) nie było, to jest: że poddany był niewolnikiem pana, sprzedawany był jak bydło, tak jak niegdyś sprzedawali niewolników poganie, jak dotąd robią Turcy i inni Muzulmanie, jak do niedawna robili Amerykanie z murzynami. U nas kiedy się sprzedaje lud

majątek, liczy się morgi ziemi, i podług tego stanowi się cenę kupna. W Rosyi liczyło się dusze (poddanych) i sprzedawało się tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące dusz, wiele ich w tym majątku było. To Rusini zyskali na zmianie panowania ¹⁾).

Jak tylko zaś Rosya Rusinów zabrała, zaraz zaczęła nad tem pracować, żeby ich na prawdziwych Rosyan przerobić. Języka im nie odbierała, bo sądziła że nie warto: spodziewała się, że ten język do rosyjskiego podobny z czasem coraz bardziej do tamtego się nagnie, jak wszystkie książki i pisma będą rosyjskie, a tylko ludzie na wsi będą mówili po rusku. Ale była inna rzecz, która Rusina od Moskala odróżniała, to wiara. Jak się na Rusi zmieni wiara i będzie taka jak w Rosyi, to za nią pomału zmieni się i dusza i sumienie ludzi, a wtedy naprawdę nie będzie różnicy między Rusinem a Rosyaninem.

Wzięto się też zaraz do zniesienia Unii kościelnej.

W umowie, którą przy rozbiorze Polski zawierały między sobą trzy Państwa: Rosya, Austria i Prusy, był warunek przez Rosyę przyjęty, przez cesarzową Katarzynę podpisany, który brzmiał, jak następuje:

„Jej Cesarska Mość przyrzeka nieodwołalnie za siebie i swoich następców, że nigdy władzy swej nie użyje na szkodę religii katolickiej obu obrządków“.

Ledwo to podpisała, zwołała Katarzyna radę ze swoich wielkich urzędników i ze swoich schyzmatycznych biskupów, i kazała im myśleć nad sposobem, którymby „prowincye polskie najłatwiej można nawrócić na pra-

¹⁾ Cesarz Aleksander Drugi zniósł ten obyczaj lat temu około trzydziestu.

wosławie“ (tak w Rosyi nazywają schyzmę). Sposób się znalazł. Na Ukrainie, na Podolu i Wołyniu, na Białorusi (czyli wschodniej Litwie) zamknięto klasztory bazylikańskie: proboszczów, którzy na schyzmę przejść nie chcieli, wypędzano z parafij i zamykano do więzienia, biskupów wypędzono także: na miejsce jednych i drugich przysłano schyzmatyków: założono cztery eparchie (diecezyje) schyzmatyckie: a tak raźnie wzięto się do dzieła, że w przeciągu trzech lat zniesiono dziewięć tysięcy unickich parafij i sto pięćdziesiąt klasztorów, a zapisano na prawosławie ośm milionów ludzi.

Po Katarzynie zasiadł na tronie rosyjskim jej syn Paweł. Ten był dziwak wielki, zmienny w swoich myślach i chęciach, ale ze wszystkich cesarzy rosyjskich sumienia miał najwięcej. Tak jak uwolnił tych Polaków, których Katarzyna trzymała w więzieniu (Kościuszkę, Niemcewicza, Ignacego Potockiego, Kilińskiego i innych), tak i Unitów nie tylko gwałtem na schyzmę nawracać nie chciał, ale owszem przywrócił niektóre przez matkę zniesione unickie diecezje i bazylikańskie klasztory. Nie długo też żył. Wielcy urzędnicy dworcy i wojskowi zrobili przeciw niemu spisek, żeby go złożyć z tronu i zamknąć w klasztorze, na co się i synowie jego zgodzili. Ale zamiast tak zrobić, woleli skończyć z nim odrazu, i udusili go: to już podobno bez wiedzy i pozwolenia synów.

Nastąpił po nim jego syn Aleksander Pierwszy. Nie był on bez dobrych uczuć, a zwłaszcza lubił i umiał udawać jeszcze lepszego niż był. Unitów, jacy jeszcze w jego państwie zostali, nie prześladował i gwałtem do swojej wiary nie zmuszał. Przez całe życie trapiiony w sumieniu wspomnieniem śmierci ojcowskiej, pod ko-

niec życia chciał podobno tajemnie przejść na wiarę katolicką. Umarł nagle, otruty, w roku 1825.

Jego brat i następca, cesarz Mikołaj, wziął się znowu do Unii za przykładem babki, Katarzyny. Zaczął od tego, że wszystkich dawnych Unitów, którzy za Katarzyny przeszli na obrządek łaciński (bojąc się, żeby ich na schyzmatyków nie obrócono), kazał nawracać i zapisywać na schyzmę: dla kleryków unickich kazał zakładać szkoły pod dozorem schyzmatyckich popów i z ich nauką: klasztory Bazylianów kazał zamykać, zakonników rozpędzać. Taki był początek: a potem nastąpiło prześladowanie straszne i krwawe, wołające o pomstę do Boga. Był ksiądz pewien młody, unicki, nazywał się Józef Siemaszko. Ten od dzieciństwa jakżeby opętany nienawiścią swojej wiary, o tem tylko myślał, jakby ją zdradził, Unię do szczytu zniszczył, a schyzmę na jej miejsce wprowadził. Podawał w tym celu wiele pism do rządu i cesarza z radami, jakby to zrobić najłatwiej, a gdy im się dobrze dał poznać jako wróg i odstępcą katolickiej wiary, cesarz przedstawił go Papieżowi na biskupa (unickiego jeszcze). Papież nie mógł wiedzieć, co ten człowiek w skrytości serca myślał i zamierzał, i Siemaszko biskupem też został, mściławskim naprzód, a później wileńskim.

Zamierzył on księży unickich do schyzmy skłonić, albo do niej gwałtem zmusić: a skoroby księża na rosyjską wiarę przeszli, to lud bez swojej wiedzy i bez pytania byłby zapisany na prawo sławny. Przez kilka lat pracował nad księżmi. Gorszych pieniędzmi, słabych strachem na swoją stronę przeciągał: wiernych, tych, co swojego kościoła zdradzić nie chcieli, wypędzał z parafij, więził, w głąb Rosyi kazał wywozić,

klasztory bazyliańskie zamykał i schyzmatyckim czerńcom oddawał: wtedy i sławny wołyński Począjów (blisko galicyjskiej granicy) na schyzmę był zabrany. Po kilku latach tyle dokazał, że kilkuset księży albo złych albo wylękłych o los własny i rodzinę, dało podpisy, że na schyzmę przejdą. Te podpisy posłał Siemaszko do cesarza: cesarz odpowiedział, że Bogu dziękuje za nawrócenie Rusi do prawdziwej wiary, i na pamiątkę kazał bić medal z napisem, że „Ruś gwałtem oderwana była od cerkwi rosyjskiej, a miłością do niej była przywróconą“ (w roku 1839).

Co to była za miłość? Wszystkich gwałtów i okrucieństw wyliczać tu nie możemy, bo byłoby za długo. Wspominamy tylko ogólnie, że księży, którzy schyzmy przyjąć nie chcieli, bywali wszyscy odzierani z szat kapłańskich, trzymani po schyzmatyckich klasztorach w więzieniu, obracani na dyaków przy schyzmatyckich cerkwiach. Ci, o których myślano, że drugich zachęcą do wierności, prześladowani byli okrutniej. Tak naprzykład ksiądz Micewicz, trzymany był przez sześć miesięcy w lochach pod kościołem w Żyrowicach, o chlebie i wodzie: a gdy i to nie pomogło, oddany był mniuchom schyzmatyckim, którzy się nad nim i innymi okrutnie pastwili, bili i katowali.

Gorzej jeszcze było z zakonnicami, Bazylianekami. Te, gdy rozkazu Siemaszki nie przyjęły, i oświadczyły odważnie, że wiary swojej nie odstąpią, z klasztorów swoich wygnane, pędzone były pieszo, w ciężką zimę, do różnych klasztorów rosyjskich mniszek (czernie); tam do ostatnich posług używane, bite, nogami kopane: wiele z nich umarło z tej męki: ale ogółem tęższe były i wytrwalsze od mężczyzn. Parę z nich zdołało umknąć,

i po niezliczonych trudach dostały się do Rzymu; między niemi przełożona, Matka Makryna Mieczysławska, której prześladowanie opisane w obcych językach stało się głośnem na świecie. Sama dożyła w Rzymie późnej starości, i tam w klasztorze Bazylianek umarła.

A jakże lud unicki przyjął tę zmianę? W wielu miejscach widząc ten sam zewnętrzny kształt nabożeństwa, jaki był dawniej za Unii, nie spostrzegł się zrazu: nie wiedział, co z nim zrobiono. Ale opatrzył się, z czasem, i próbował się opierać. Sakramentów od schyzmatyckich księży przyjmować nie chciał; do cesarza podawał prośby, żeby mu wolno było w dawnej wierze pozostać. Ale na to rada była łatwa. Tych, co prośby pisali i podpisywali, wywożono w głąb Rosyi albo więziono. Popi chodzili po wsiach z kozakami i żandarmami, gwałtem otwierali ludziom usta i wpychali komunię, a potem zapisywali na prawosławie. Czasem opierających się spędzano na jedno miejsce, otaczano ich słomą, słomę podpalano, a kto chciał żywy wyjść, musiał wiary odstąpić. Innych zapędzano na stawy zamarźłe, a kiedy opierali się jeszcze, łamano lód, żeby ich potopić. Tak Rosya nawracała unitów na schyzmę, taka to miłość połączyła z rosyjską cerkwią trzysta parafij, dwa tysiące księży, i półtora miliona ludu (głównie na Litwie)!

Po śmierci srogiego cesarza Mikołaja (1855) wstąpił na tron jego syn Aleksander Drugi. Uchodził on za łagodnego i dobrego: istotnie zniósł poddaństwo ludu w swoim państwie, tej zasługi odmówić mu nie można— (choć gdyby był chciał wysłuchać próśb szlachty polskiej z Litwy, Wołynia, i Królestwa Polskiego, to byłby zniósł poddaństwo wcześniej). Dla Polski wszakże,

dla Kościoła katolickiego, a w szczególności dla Unitów nie był on lepszy, tylko owszem gorszy od ojca.

Pokazało się to rychło po jego wstąpieniu na tron, w jednym wypadku, który zapowiadał wiele późniejszych.

Jest na Białorusi, niedaleko Witebska, wieś jedna duża, licząca przeszło tysiąc ludności, nazywa się Dziernowicze. Wieś ta za Katarzyny jeszcze bojąc się, żeby jej nie zapisano na prawosławną, przeszła z unickiego obrządku na łaciński. Ale że kiedyś ich dziadowie byli Unitami, więc za Mikołaja, za Siemaszki, zapisano ich na schyzmatyków. Ale w skrytości serca byli zawsze katolikami; a słysząc o nowym cesarzu a dobrym, podali prośbę, żeby im pozwolił do dawnej wiary powrócić. Natychmiast zjeżdża śledztwo, urzędnicy, popi, żandarmi, żołnierze, i pytają gromady, jak śmiała myśleć o tem, żeby się cesarzowi i Bogu sprzeciwić? Gromada odpowiada, że cesarzowi jest posłuszna, tylko swoją dawną wiarę chce zachować. Wtedy tych, których mieli za najpoważniejszych i najśmielszych, zbili żandarmi okrutnie do krwi, powybijali im zęby, i odstawili do więzienia do Witebska. Jeden z nich, felczer wiejski Wincenty, tak był zбитy, że aż dostał pomieszania zmysłów. Po ich wywiezieniu cała komisya została w Dziernowiczach, i siedziała tam sześć tygodni, wzywając do śledztwa po kolei mężczyzn i kobiety. Przy tem śledztwie mało kto nie był bity do krwi. Nagle komisya odjechała. Myślano we wsi, i w całej okolicy, że to cesarz kazał zaprzestać okrucieństw; cieszą się, że może wysłucha prośby, i pozwoli gromadzie zostać katolicą. Ale niebawem zjeżdża komisya druga, z jakimś jeszcze wyższym urzędnikiem na czele, i znowu wzywa gro-

madę do śledztwa. Zaczyna się namowa, zrazu niby łagodna i słodka, żeby się nie buntowali i wyznawali taką wiarę, jak cesarz chce. Lud odpowiada, że „kiedy „żydom pozwalacie spokojnie swoją wiarę wyznawać, „to pozwólcieź i nam“. Wtedy drugi urzędnik woła: „a cóż to wy łotry buntownicy, nawet się nie uklonicie „panu senatorowi?“ Lud się kłania.— „Nie tak! niżej, „do kolan. I rękę pocałować“. Jeden po drugim schyla się do kolan i całuje, nie domyślając się zdrady. A tymczasem co który to zrobił, to go brali na bok, i zapisywali, że się poprawił i poddał, i że już jest prawosławny. Kazali im, żeby nazajutrz wszyscy byli w cerkwi, przyjąć św. kommunię.

Ale poznali zdradę, i nie przyszedł do cerkwi żaden.

Wtedy całą wieś otoczono wojskiem tak, że żadną ścieżką nikt się z niej wymknąć nie mógł, ani dać znać, co się tam dzieje. Grożono, że kto się opierać będzie, to dostanie pięćset kijów, a jak te wytrzyma to drugie pięćset, i jeszcze trzecie, i pojedzie na Sybir; a nad żonami i córkami pastwić się będą żołnierze. W końcu otoczono całą gromadę wojskiem, bagnetami zapechano do cerkwi, tam gwałtem otwierano usta, tłukąc pod brodę pięścią albo koląc bagnetem, i w usta wpychano schyzmatycką kommunię. Potem zapisano, że wszyscy włościanie Dziernowiccy dobrowolnie wrócili na prawosławie!

Tak się skończyła sprawa Dziernowicka. Później było gorzej. Tysiące podobnych, i okrutniejszych jeszcze działo się na Podlasiu, i dzieje się dotąd.

W dawnem województwie Podlaskiem i w części Lubelskiego — (Moskale przewali je Siedlecką i Lu-

belską gubernią) — leżała unicka dyecezya Chełmska. Ludność ruska była tam najbardziej zmieszana z polską, a grecki obrządek z łacińskim. Sporów między temi językami i obrządkami nie było nigdy: owszem była zgoda zupełna. Duchowni i świeccy obu obrządków odbywali nabożeństwa w łacińskich i w ruskich kościołach po bratersku: czuli się naprawdę braćmi w Chrystusie Panu, w Jego kościele, i braćmi na jednej ziemi.

Dlatego też, że w tym ludzie unickim było silniejsze niż gdziekolwiek przywiązanie do wiary, i dlatego także, że dyecezya ta leżała bliżej zagranicznego świata, więc spełnione na niej okrucieństwa łatwiej mogły dojść do wiadomości ludzi, aniżeli to, co się działo na Litwie lub na Podolu, dlatego rząd rosyjski namyślał się długo czy ma tam rozpocząć prześladowanie, albo nie. Zamiar i postanowienie miał dawno. Zaraz po prześladowaniu na Litwie chciał cesarz Mikołaj wziąć się do dyecezyi chełmskiej: ale mu odradzono z obawy, żeby lud się nie opierał, i żeby świat się nie oburzył. Wtedy jeszcze Rosya bała się trochę tego, co o niej ludzie powiedzą.

Dopiero kiedy w roku 1863 Polacy bez wojska i pieniędzy podnieśli powstanie, kiedy sprawę przegrali, a nikt się za nimi nie ujął: wtedy Rosya zmiarkowała, że nie potrzebuje nikogo się bać, ani na nikogo oglądać. Wzięła się też walić i tępić wszystko co polskiem było na tej ziemi, prawa, urzędy, sądy, szkoły, język, wszystko: i wtedy także powiedziała sobie, że może śmiało skończyć z ostatnią w swoim państwie unicką dyecezyą, i lud ten nawrócić na swoje prawosławie.

Był wtedy biskupem Chełmskim ksiądz Kaliński. Od tego zażądano, żeby pomału i nieznacznie obrządek

używano całej surowości władzy kościelnej i świeckiej. Więziono, wypędzano, wywożono na Sybir.

Zrobił więc ten biskup, lub dał zrobić wszystko co mógł, żeby zniszczyć obrządek i odrębność swojego kościoła. A jednak wzdrygnął się przed odstępstwem, i sam na schyzmę nie przeszedł. Kiedy zobaczył, że rząd tego od niego lada dzień zażąda, usunął się sam: opatrzony dwoma wsiami pod Chelmem, które niebawem sprzedał, odjechał do Galicyi.

Po wyjeździe ks. Kuziemskiego rządził dyecezyą Popiel, bez upoważnienia od Papieża. Dzieło postępowało naprzód swoim torem, nieustannie, ale cicho. Coraz nowe zmiany w obrządku, i coraz tych zmian więcej: ze strony ludności ten sam zawsze opór spokojny ale stanowczy, trzymanie się zdala od cerkwi i nabożeństw oczyszczonych: gwałtu, prześladowania, przymusu przecież nie było. Trwał taki stan dwa lata, do roku 1874.

Teraz, z samym Nowym Rokiem, wyszedł rozkaz, żeby raz z tą sprawą skończyć. Wzięły się teraz władze duchowne i świeckie do wprowadzania stanowych zmian w obrządku. Księży, którzy ich przyjąć nie chcieli, uwięziono lub wywieziono: powolnych i zgodnych zastępców dostarczała niestety Galicya. Zaraz w początkach wywieziono tak dwudziestu czterech księży. Ale na tem nie koniec: zaczęła się dopiero sprawa z ludem. Ten nie chciał chodzić do cerkwi, ani przyjmować nowych księży; gdy księży siłą zbrojną na parafiach osadzano, a lud bagnetami do cerkwi wpychano, zdarzył się pierwszy znaczniejszy rozlew krwi: w Drelowie (powiat Radzyński) zabitych było ośmiu, w Pratulinie (powiat Konstantynowski, dawny Janowski), ośmnastu.

Lud się dawał bić i zabijać, zaręczał o swojej wierności dla cesarza, ale nie ustępował. Kiedy mu narzucano księży nowych, ładował ich z rzeczami na wozy, i wywoził do najbliższego miasteczka, nie im zresztą złego nie robiąc. Nieprzyjętych księży odprowadzało wojsko napowrót do wsi i oddawało im kościół: ledwie odeszło, to samo powtarzało się znowu. Wśród tego nastąpił przyjazd cesarza Aleksandra Drugiego do Warszawy. Lud miał nadzieję, że ten cesarz, niby dobry, bo zniósł poddaństwo, pozwoli mu wyznawać swoją wiarę. Wysłał też deputacyę do cesarza. Ale cesarza nawet ona nie widziała: tylko generał-gubernator obwieścił im tylko najwyższą wolę, żeby do swojej prawdziwej wiary prawosławnej wrócili.

Lud tymczasem trwał w swoim oporze. Cóż z nimi robić? zdusić, ale o ile być może cicho, żeby odgłos tej sprawy do innych włościan i do zagranicy nie doszedł. Zdusić cicho, a więc naprzód zniszczyć, ogłodzić ludność. Zesłano wojsko. Cztery najbardziej na wschód posunięte powiaty Podlasia: Bialski, Konstantynowski, Włodawski, i Radzyński zapelnily się kozakami. Stawali żołnierze kwaterą u chłopów, i to nie po jednemu, lecz po kilku w jednym domu, a dom ten musiał żywić ich i konie; wszystko co miał, to było na ich usługi. Chęć dokuczania szła na wyścigi z chęcią zniszczenia: zabierano na przykład chłopu pszenicę, wszystką jaką miał naturalnie, i dawano ją koniom kozackim; zarzynano jego krowę, jego wołu, i dawano żołnierzom, a ci niewybredni, zwykle i nie zbyt dobrze żywieni, tam dostawali po trzy funty mięsa dziennie i tylko najlepsze części jeść mogli, gorsze rzucali w błoto, w wodę, albo psom... i to nie w jednym miejscu tak, nie w jednym wypadku, to wszę-

dzie i ciągle. Wkrótce naturalnie przyszła nędza straszna i powszechna, całe okolice były zniszczone, ogłodzone, jak po Tatarach: gorzej, bo tatarskie najazdy nie trwały nigdy tak długo. Jednak nic nie pomagało. Żadnych odstępstw ani żadnych ustępstw; żądano od ludu przyjęcia nowych księży, chodzenia do cerkwi, lud kiedy inaczej poradzić sobie nie mógł, wynosił się tłumnie do lasów, tam przez czas jakiś koczował, ale zgodzić się nie chciał.

Wtedy wzięto się do środków ostrzejszych. Żądano od gromad podpisów, niekoniecznie że przyjmą prawosławie, ale że przyjmą nowych księży i zmienione nabożeństwo. Kiedy nie chcieli, bito ich tak, że nawet nam Polakom uwierzyć trudno; po dwieście kijów, to miara dla mężczyzny zwykła, ale byli tacy, co ją dwoma, nawet trzema nawrotami dostawali. Ojciec jednego z ludzi zabitych pod kijami, patrząc na niego, mówił, że nie płacze i nie żałuje, bo Bóg synowi tej męki i tej śmierci zapomnieć nie może. Drugi, po dwustu kijach wstał, mówiąc, że to każde dziecko wytrzyma, cóż dopiero człowiek dorosły, któremu idzie o duszę i wiarę. Ale oto wypadek inny dowodzący, do jakiego stanu świętości doszedł ten lud, wiarą i gotowością na śmierć podobny do pierwszych chrześcijan. Kobięcie jednej (w Kornicy) zabili syna jedynaka. Płakała nad ciałem; wtedy z otaczającej gromady wystąpił jeden starszy człowiek i zgromił ją, że narzeka, kiedy powinna Bogu dziękować i śpiewać pieśni pochwalne, że miała szczęście dać niebu męczennika. Kobieta zrazu osłupiała; powoli, owładnięta tym rozkazującym tonem przestawała płakać, w końcu usłuchała, i widziano, może po raz pierwszy na świecie, matkę śpiewającą jakąś pieśń dzięk-

czynną „Twoja cześć chwala“ podobno, nad ciałem zabitego dziecka.

Innym razem chłop zбитy na śmierć prawie, odniesiony był do szpitala. Naczelnik żandarmów, któremu przecie żal go było, poszedł zobaczyć czy jeszcze żyje. Zastał go śpiewającego godzinki. Na jego wejście śpiewanie się przerwało, skatowany unita zapytał czy przychodzi bić go znowu, ale tak spokojnie, tak słodko, że komendant sam nie mógł ukryć zdziwienia, że nie widział żadnego do siebie żalu. „Kiedy to nie twoja wina, „robisz co ci kazali, ale jeżeli jeszcze mnie bić musisz, „to przynajmniej bij tak, żebym już skończył“. Inny, raz zбитy, a wiedząc, że go czeka nowa egzekucya, nie dowierzając sobie czy wytrzyma, radził się, czy nie lepiej odebrać sobie życie: „Wszak to mniejszy grzech „niż odstąpić wiary?“ Upomniany, że życie tylko Bóg odbierać ma prawo, odstąpił od swojej myśli i poniósł męczeństwo. A takie rzeczy jak wpędzanie ludzi do wody, po kolana, po pas, po szyję, trzymanie ich w wodzie całemi godzinami, w zimie, na mrozie, powtarzały się nie raz. Nowym wymysłem, odmianą w okrucieństwie było to co zrobiono z kobietami w Kornicy. W największe mrozy kazano im (boso) odrzucać śnieg z gościńca na pole: zrobiły. „Podpiszecie?“ — „Nie: żadna“. „To znoście śnieg napowrót z pola na gościniec“. I zniosły.

I w tem wszystkim ten lud nie miał żadnego kierunku, żadnej znikąd pomocy, żadnej rady. Księży własnego obrządku rządowi uległych słuchać nie chciał, innych już nie miał, byli wywiezieni. Dwory ze drzeniem, zdaleka słuchały jęków i razów — zбитym i konającym niosły ratunek kiedy pozwolono, więcej zrobić

nie mógł nawet ktoby był chciał odważyć się na wszystko, a nic nie jest dziś tak niebezpiecznem, jak podejrzenie o jakiegokolwiek z prześladowanym ludem stosunki: Łacińscy księża bardziej niż ktokolwiek musieli trzymać się na boku. Najmniejsza pomoc z ich strony, najmniejsza styczność z prześladowanymi, byłaby użyta zaraz za pozór prześladowania: „księża łacińscy utwierdzają Unitów w buncie, a więc wziąć się do obrządku łacińskiego“. Księża łacińscy musieli siedzieć cicho, bo inaczej zamkniętoby i ich kościoły, i nie zostałyby już żadne.

Zdarzały się i straszne czyny rozpaczy. I tak, w Kłodach (pow. Bialski) włościanin nazwiskiem Koniuszewski, którego zmuszono, aby ochrzcił dziecko podług nowego obrządku, spalił siebie, żonę i dzieci. Przed tym czynem rozpaczy zebrał co miał zboża i rzeczy i złożył w jednej izbie, żeby po jego śmierci było na opłacenie kontrybucyi: ubrał się jak na święto, żonie i dzieciom kazał zrobić to samo, potem poszedł z nimi do stodoły, zaparł wrota od wewnątrz, żeby mu nikt nie przeszkodził, i podpalił. Ale są inne wypadki, w których już nic ziemskiego, nic niedoskonałego nie ma, tylko czysta świętość. Kobieta jedna, nazywała się Krajczycha, nie chciała podpisać że przechodzi na schyzmę. „Podpisz, bo pójdziesz na Sybir“.— „To pójdę, a nie podpiszę“.— „Nie?“ — Nie. — „To ci zabierzemy dziecko“.— Ta nie zabiła ani siebie ani dziecka, święta jak najświętsza męczennica wiedziała odrazu, choć się długo nie zastanawiała, że śmierci trzeba czekać, posłuszna jak Abraham wiedziała, że trzeba się poddać i zrobić ofiarę choćby z Izaaka: wierząca i ufna jak wielec wyznawcy pomyślała, że Bóg nie może opuścić dziecka, które mat-

ka opuszcza, żeby nie opuścić Boga. Powiedziała tylko: „Bóg o nim nie zapomni“, przeżegnała dziecko, i oddała.

Inna matka znowu, kiedy jej pop gwałtem chciał ochrzcić dziecko na schyzmatyka, rozbiła mu głowę o ścianę kościoła, wołając że jej Bóg tę zbrodnię przebaczy, bo poświęca życie dziecka dla ratowania jego duszy.

Jakich sposobów używali Moskale, żeby tych nieszczęśliwych miłością do swojej wiary nawrócić, przytoczymy już tylko jeden przykład. W miasteczku Łomazach zamknęli wszystkie kobiety i dziewczęta w jednej stodole, i puścili do tej stodoly rotę kozaków, żeby tam robiła, co zechce. Mężowie i ojcowie trzymani zewnątrz stodoly, kiedy usłyszeli krzyk żon i córek, podpisali papier na którym stało, że dobrowolnie przyjmują świętą rosyjską wiarę!

Księża dobrzy i wierni byli dawno w więzieniu, na Sybirze, albo zagranicą: ich miejsce zajęli źli, z Galicyi przez Popiela sprowadzeni. I ci, z nim samym na czele, podali prośbę do cara, żeby im pozwolił wrócić na łono prawdziwej wiary! Popiel został za to schyzmatyckim Chełmskim biskupem.

A wierni unicy? Cóż dziwnego, że takich nieszczęść wszyscy wytrzymać nie mogli! Rząd, i odstępeca Popiel, okazali swego. W roku 1875 czterdzieści pięć parafij, około pięćdziesiąt tysięcy ludzi, dało się zapisać na prawosławie.

Ale zostało ich jeszcze dwa kroć sześćdziesiąt tysięcy, którzy wiary nie zmienili, choć ich wszystkich na prawosławnych zapisano, i z tymi dzieje się od lat szesnastu to co się działo z pierwszymi. Raz groźniej,

drugi raz niby łagodniej, ale postępują z nimi Moskale zawsze tak samo.

I nikt nie może na to poradzić? nikt nie może im pomóc? Nikt, bo trzeba by wojska i wojny: przed niczem innym Rosya nie ustąpi, a wojnę któż jej wyda? Nie te to czasy kiedy o krew chrześcijańską przez Turków wylewaną upominali się chrześcijanie. Papież Pius IX upominał i groził karą Bożą; rosyjskiemu posłowi drzwi pokazał, gdy mu ten śmiał mówić, że unicy dobrowolnie przeszli na prawosławie, ale ta groźba nie działała na ludzi innej wiary, i na ludzi bez sumienia. Kara Boska spadła wprawdzie: cesarz Aleksander, skrytobójczym zamachem zabity, leżał na ulicy z urwanymi nogami, i broczył krwią śnieg i błoto jak w swoich wsiach podlascy unicy: ale po jego śmierci nie zmieniło się nic.

Owszem, jego syn Aleksander Trzeci, zawzięwszy jest od ojca w swojej schyzmatyckiej wierze, i chciałby na nią jeżeli nie cały świat, to przynajmniej wszystkie słowiańskie narody nawrócić. Papież dzisiejszy, Leon Trzynasty, z trudem wielkim łaciński obrządek stara się jak może bronić od zagłady, a dla nieszczęsnych unitów żadnej najmniejszej ulgi otrzymać nie może; próżno o nią i prosić.

Żyje więc ten nieszczęśliwy lud jak może: do cerkwi nie chodzi, sakramentów od popów nie przyjmuje: dzieci chrzci kto może: bez ślubów obchodzą się, składają je przed Bogiem tylko i rodzicami: żyją i umierają bez Spowiedzi i Komunii św. Czasem, z narażeniem wolności lub życia przekradają się przez granicę, i w Galicyi w katolickich kościołach przystępują do Sakramentów. Ale jak którego złapią, albo jeżeli w do-

mu nawet popu się opiera, to w łańcuchach ze zbrodniarzami pędzą ich gdzieś w stepy, na Sybir. Zesłano tak naprzód przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi do gubernii Saratowskiej (jeszcze w Europie). Sądzone, że po takiej karze przejdą już na schyzmę. Gdy nie chcieli, zapędzano dalej, za góry Uralskie, do Azji, na Sybir, po kilkadziesiąt albo po kilkanaście osób razem; a często tak, że gdzieindziej musi iść mąż, a gdzieindziej żona— gdzieindziej rodzice, gdzieindziej dzieci...

Pisują ztamtąd czasem ci męczennicy prawdziwi, wierni zawsze i stali, cierpliwi i mężni, i nawet prześladowcom swoim przebaczący — jak święci. Może uda się kiedy i *Krakusowi* jakie ich listy ogłosić.

A tymczasem tu u nas, w Chelmskiej i Podlaskiej ziemi, zawsze tak samo. Rząd mówi, że Unii niema, ale prześladuje ją dalej: a szatańskie prawdziwie wymyśla sposoby na to, żeby coraz więcej ludzi do swojej wiary zmusić. I tak naprzykład, rzecz była zwyczajna i powszednia, że gdzie łacińskiego kościoła nie było, tam dzieci łacinników chrzcili się w unickiej cerkwi. To wystarcza, żeby ochrzczonych tam łacinników, a nieraz ich potomków w trzecim i czwartym pokoleniu zapisać na schyzmatyków! Chrzcili się w cerkwi, więc musieli być, albo muszą być prawosławnymi. Małżeństwa między łacinnikami a unitami były bardzo częste. Jeżeli teraz pop lub urzędnik wynajdzie, że ktoś miał babkę czy prababkę unitkę, zaraz podaje do urzędu, że on z żoną i dziećmi powinien być prawosławnym. Żeby zaś zachować pozór niby to sprawiedliwości, wzywają proboszcza łacińskiego na tak zwaną komisję mieszaną, i zapytują go jakie ma dowody na to, że ten lub ów jego parafianin jest naprawdę katolikiem.

Ksiądz pokazuje metryki, daje dowody: ale jest w tej komisji sam jeden katolickiej wiary, a przeciw niemu jest w niej dwóch schyzmatyckich popów i dwóch urzędników. Ci tedy większością głosów orzekają, że dowody nie są dostateczne, że ten lub ów jest prawosławnym, i na takiego go w swoje księgi zapisują. A wtedy taki człowiek ma do wyboru albo naprawdę schyzmatykiem zostać, albo porzucić dom, mienie i rodzinne strony, i z żoną i dziećmi uciekać za granicę.

Wielu ich żyje tu między nami w Galicyi, którzy tak wiarę swoją ratując uciekli! Albo znowu mąż i żona, którzy do schyzmatyckiej cerkwi chodzić nie chcą, a przed laty wzięli ślub w unickiej, dowiadują się nagle, że ich ślub nie był ważny: że jako prawosławni muszą wziąć nowy, przed popem, jeżeli chcą uchodzić za prawe małżeństwo. Odpowiadają, że przed Bogiem i ludźmi są prawnie zawartem, uczciwem małżeństwem, a nowego ślubu nie potrzebują. Wtedy urząd ogłasza, że oni są nieślubni, i żeby drugim nie dawali niby złego przykładu, rozdziela ich: mąż musi mieszkać osobno, żona osobno. Nieszczęśliwa kobieta, uczciwa i prawdziwa małżonka, musi znosić taką krzywdę dla swojej dobrej sławy! Dzieci zapisane są w księgach ludności jako nieprawe. Jeżeli rodzice zgodzą się w końcu, i z rozpaczą wezmą ten nowy ślub schyzmatycki, to zostawiają ich nadal w spokoju: jeżeli nie chcą swojej wiary odstąpić, to im odejmują uczciwą sławę, a dzieciom uczciwe pochodzenie.

A nasi księża, albo nasze dwory, nie mogą na to nic! Ksiądz gdyby takiego nieszczęśliwego wysłuchał spowiedzi, albo pochował, poszedłby na Sybir: jego parafia zostałaby bez duchownej posługi, kościół byłby

zamknięty: unitom nie pomógłby nic, a na łaciński obrządek sprowadziłby nieszczęście. Szlachcic we dworze gdyby próbował nie już bronić od prześladowania, ale tylko popów i urzędników błagać o litość albo przekupować, poszedłby tak samo pod śledztwo albo na wygnanie. Serce pęka każdemu, kiedy w nocy potajemnie przyjdzie do niego nieszczęśliwy ojciec lub matka i błaga żeby dziecko od schyzmatyckiego chrztu ratować: „Pan ma pieniądze — niech Pan przekupi! Pan więcej „odemnie u nich znaczy, niech Pan uprosi!“ — A tu ani prośbą, ani pieniędzmi, ani niczem nic zrobić nie można: car kazał że ruskiego obrządku ma nie być, a jak on kazał tak być musi!

Tych nieszczęść i okrucieństw, tych zasług i cnót także, nikt wszystkich nie zliczy i nie spamięta. Ale widzi i liczy je Bóg, i On nie zapomni. Sam wyrzekł że przelana krew woła do Niego o pomstę: upomni się więc z czasem i o tę krew męczeńską, którą cała ta ziemia przesiąkła. A my, którzy nie możemy nic dla tych nieszczęśliwych, pamiętajmy przynajmniej prosić Boga, żeby im to męczeństwo skrócił, na tryumf wiary naszej obrócił, a nam dał tyle wiary i tyle cnoty, ile jej mają ci podlasecy i chełmscy męczennicy.

Oto tak dzieje się Rusinom katolikom pod rządem rosyjskim. Ale może Rusinom schyzmatykom, którzy rządową cesarską wiarę wyznają, dzieje się przynajmniej dobrze pod względem świeckim? Może mają swój język, swoje prawa, swoje szkoły? O nie. Pod rządem rosyjskim niczem być nie wolno, tylko moskalem, i innego języka być nie może, tylko jeden rosyjski. Język Rusinów mają Moskale w pogardzie, i ledwo że ludziom na wsi mówić nim pozwalają: ale pisać w nim lub

książki drukować nigdy. Łatwiej jeszcze pozwoliliby na Ukrainie, na Podolu, i Wołyniu, pisać i drukować i uczyć po polsku (choć zakazują tego pod najsurowszemi karami), aniżeli po rusku. Coraz też częściej się zdarza, zwłaszcza na Ukrainie, że lud w szkółkach po rosyjsku uczony, w wojskowej służbie przez długie lata trzymany, zapomina po trochu swojej przyrodzonej mowy, a ta staje się do rosyjskiej podobniejszą.

Przez popów znowu, ciemnych, cheiwych, często pijaków, krzywdzony i zdzierany, lud ten choć pobożny w duchu, nabiera pogardy i nienawiści do swego duchowieństwa i do cerkwi, i nierzadko od swojej wiary odstaje, a przyjmuje poicichu jakieś wiary nowe. Na Ukrainie zwłaszcza coraz bardziej mnoży się jakieś wyznanie do luterskiego trochę podobne, w którem księży, ani Mszy św., ani Sakramentów niema, tylko świeccy ludzie schodzą się między sobą na modlitwy i prawią sobie nauki. Gdyby tam katolicycy missyonarze pokazać się mogli, to wszystkich tych, którzy widocznie łakną wiary lepszej i żywszej od schyzmy, nawróciłiby łatwo na prawdziwą. Ale na to, by tam katolicki Missyonarz mógł się pokazać i nauczać, trzeba by żeby cała Rosya była inną niż jest.

Nie! — nie wyszła Ruś dobrze na tem, że Chmielnicki część jej poddał Rosyi, a że Katarzyna całą zabrała.

IV.

Rusini pod panowaniem austryackiem.

Kiedy rząd austryacki zajął Galicyę, (po pierwszym rozbiorze Polski r. 1772), dostrzegł zaraz, że u niektó-

rych Rusinów, zwłaszcza duchownych, tli w głębi serca niechęć do Polaków. Takich wszakże było mało, a Polacy nie wiedzieli o tej niechęci, która się wyraźnie w niczem widzieć nie dawała. Gubernatorowie austriaccy pisali w swoich raportach do Wiednia, że gdyby kiedy Polacy przeciw rządowi burzyć się chcieli, to możnaby na nich mieć pomoc w takich Rusinach, ale przestrzegali zarazem, żeby tego środka nie używać, bo jest niebezpieczny. „Rusini którzyby zniechęcili Polaków, mogliby zanadto polubić Moskali, a to dla państwa austriackiego mogłoby stać się groźnem, bo oprócz Rusinów w Galicyi, są oni na Bukowinie, i za Karpatai na Węgrzech, są i Słowaki, są i schyzmatycey. Gdyby ci wszyscy przez podobieństwo języka i obywatelstwa, albo przez wspólność wiary, zaczęli czuć jakiś pociąg do Rosyi, byłby z tego dla Austrii kłopot niemały“.

Przez długie lata zostały więc te stosunki tak jak były za polskich czasów. W niezliczonych Rusinach ukryta niechęć: w ogromnej większości nietylko nie było niechęci, ale owszem była zgoda i przyjaźń wzajemna. Księża ruscy, ich żony i dzieci, mówili między sobą po polsku i czytali polskie książki: studenci w szkołach Rusini i Polacy tak samo o wszystkim myśleli i tak samo czuli. Kiedy się Polacy bili, za Napoleona albo w roku 1831, wielu Rusinów szło z nimi tak samo na wojnę za sprawę, którą uważali za wspólną. Nawzajem, kiedy we Lwowie, między rokiem 1830 a 1840 kilku Rusinów zaczęło pracować nad lepszym wyrobieniem swego języka i drukować książki, żaden Polak nie myślał temu przeszkadzać, owszem każdy się cieszył i życzył im jak najlepiej.

Przyszedł rok 1848: rok wielkich zaburzeń w całej Europie, i w Austrii. W Wiedniu wybuchły rozruchy takie, że aż Cesarz (stryj teraźniejszego, Ferdynand I) umknął do Tyrolu: w Pradze burzyli się Czesi: prowincye włoskie, Lombardia i Wenecya podniosły wojnę przeciw Austrii z pomocą sąsiedniego króla Sardyńskiego: na Węgrzech wybuchła wojna długa i ciężka. W Galicyi rozruchy były na prawdę małe. Ale rząd, przestraszony temi zaburzeniami które miał gdzieindziej, wziął się ostro do stłumienia tych niepokojów. Aż za ostro, bo oba większe miasta, Lwów i Kraków, były bombardowane, gdy się w nich jakiś mały rozruch uliczny pokazał.

W tym tedy czasie, rząd zwrócił uwagę na Rusinów. W niektórych Rusinach (jak wiemy) była zawsze niechęć do Polaków. Ci teraz, widząc że rządowi będzie to na rękę, zaczęli oddzielać się od Polaków, zakładać swoje osobne rady, zbierać zgromadzenia, podawać prośby do Namiestnika i do Cesarza nie od całego kraju, tylko od Rusinów samych. We wszystkim co mówili i pisali, wystawiali się jako wierni poddani Cesarza i Państwa, i dawali do zrozumienia, że tylko oni są tacy w Galicyi, a Polacy nie. Rząd ówczesny, dość krótko widzący, przyjmował ich oświadczenia bardzo łaskawie, a nie rozumiał tego, że ten środek, którego używał przeciwko Polakom, to broń obosieczna, która i Austryę mogła skaleczyć.

Zaczęli więc Rusini występować odtąd zawsze jako naród osobny. W tem nie byłoby nic złego, i do tego mieli i mają prawo, skoro ich Pan Bóg stworzył Rusinami, a na znak, że nie są ani Polakami ani Rosyanami, dał im język ich własny, który ani nie jest pol-

skim ani rosyjskim. Ale choć ich prawo było dobre, to ich postępowanie i ich zamiary były złe. Postępowanie było złe, bo było powodowane zawsze i na każdym kroku tylko nienawiścią do Polaków, tylko myślą jakby im zaszkodzić. Miłość własnej ojczyzny jest dobra i święta: ale u kogo ona zasadza się głównie na nienawiści drugiego, ten drugiemu może wiele zaszkodzić, ale tej swojej ojczyźnie wiele dobrego nie zrobi. Za dawnych czasów Chmielnicki przez nienawiść do Polski zaszkodził Rusi bardzo: w naszym wieku Rusini w Galicyi powinni byli o tem pamiętać, i swoją miłość ojczyzny z tego złego uczucia zazdrości i nienawiści oczyścić. Ale tego nie zrobili.

Że zaś ich zamiary nie były dobre i czyste, to zaczęło pokazywać się niebawem. Z łacińskiego obrządku przeszły do ruskiego niektóre zwyczaje, jakich w nim pierwotnie nie było. Naprzykład w cerkwiach księża mówili kazania z ambony (w obrządku wschodnim mówić się zwykły od ołtarza): stawiano w nich i organy — (w obrządku wschodnim i u schyzmatyków organów niema, tylko śpiew sam). Przy Mszy, na Podniesienie, i na Komunię, dzwoniono jak przy Mszy łacińskiej: Komunię św. Rusini, za przykładem łacinników przyjmowali klęczący — (dawniej zaś stojący, jak schyzmatycey). Braetwa różne, albo śpiewanie Różańca, były we wszystkich prawie parafiach, znowu za przykładem łacinników. Teraz księża ruscy, z gorliwości niby o swój obrządek i jego ściśle przestrzeganie, zaczęli usuwać z cerkwi to wszystko, co nazywali łacińskimi dodatkami. Dzwonki, organy, ambony, znikwały gdzieś jedne po drugich: do Kommunii kazano wiernym przystępować stojący: braetwa proboszcze radzili lub kazali rozwiązy-

wać: Różańca śpiewać nie pozwalali. Nie podobało się to wielu, bo te dodatki, choć istotnie z łacińskiego obrządku przejęte, ruskiemu szkodzić nie mogły a pobożności wiernych pomagały. Ich usunięcie zaś sprawiało, że nabożeństwo ruskie stawało się coraz podobniejszym do schyzmatycznego: a że ludzie nieraz więcej patrzą na pozór niż na rzecz, więc można było obawiać się, że to podobieństwo obrządków mogłoby z czasem zaślepić lud na różnicę wiary, jaka jest między Unią a schyzmą.

Zmiany wprowadzono nie tyle z dbałości o pierwotną czystość ruskiego obrządku, ile z niechęci do łacińskiego. A niebawem pod tą niechęcią objawiło się coś gorszego, pociąg do innej wiary, i do innego Państwa. Niektórzy księża zaczęli zapuszczać brody — jak schyzmatycy popi: z mszy zaczęli wypuszczać modlitwę za Papieża: gdzieniegdzie pokazywały się mszały drukowane w Rosyi, schyzmatyczne. Zaniepokoiło to innych, zaczęli pytać co to znaczy? Biskupi wydali zakazy: brody znikły, ale ziarno raz zasiane zaczęło wydawać plon.

Świeccy Rusini znowu porzucili swoje dawne abecadło i pismo ruskie, a przyjęli litery rosyjskie. Do swego piśmiennego języka, do książek, pod pozorem że język ruski nie jest do pięknego pisania przygotowany i wyrobiony, zaczęli wprowadzać mnóstwo słów i wyrażeń czysto rosyjskich. Wszystko to razem było dość niepokojące, dość podejrzane. Ludzie rozważni musieli pytać co z tego dalej będzie? Miał się ruski naród i język niby rozwijać, a on się tymczasem w oczach na coś innego i wcale niepotrzebnego przerabia?

W roku 1861 odbywał się pierwszy Sejm we Lwowie. Rusinów było w nim dużo: spory z Polakami były

częste i gwałtowne. Oni w swojej nienawiści żądali rzeczy niemożliwych i niesprawiedliwych — naprzykład żeby Galicyę podzielić na dwa kraje, polski od Krakowa po San, i ruski od Sanu po Zbrucz: my w naszym oburzeniu (choć łatwo zrozumiałem), unosiliśmy się czasem nieroztropnie, kiedyśmy mówili (niektórzy tylko) że oni są i powinni być Polakami, że ich język jest tylko narzeczem polskiego i podobnie. Ale w tamtych latach Rada Państwa w Wiedniu składała się z posłów wybieranych do niej przez wszystkie sejmy krajowe — (nie jak dziś, co wybieramy osobno do sejmów, a osobno do Rady Państwa wprost). W naszym Sejmie Polacy mieli większość, więc gdyby byli chcieli, mogli byli ani jednego Rusina do Rady Państwa nie wybrać, a przynajmniej wybrać ich bardzo mało. Tego się też Rusini bali; wysłali tedy kilku ze swoich, z biskupem księdzem Litwinowiczem na czele, żeby się z posłami polskimi o te wybory umówili. Polacy krzywdy im robić nie chcieli: ale to wiedzieli, że w Radzie Państwa, pomiędzy mnóstwem posłów niemieckich, czeskich, morawskich i innych, wtedy tylko coś dla kraju wskórać będą mogli, jeżeli wszyscy zawsze tak samo jak jeden człowiek będą głosować. Dali tedy Rusinom odpowiedź następującą: „Jeżeli nam przyrzeczecie, że w Wiedniu, w Kole naszym, między swoimi, będziecie się z nami klócić ile wam się podoba, ale w Izbie, przed obcymi, będziecie z nami jednakowo głosować, to was do Rady Państwa wybierzemy“.

Rusini obiecali: ksiądz Litwinowicz powiedział publicznie, że daje swoje słowo kapłańskie i biskupie na to, że w Radzie Państwa Rusini będą się z Polakami trzymać i jednakowo z nimi głosować

Polacy uwierzyli, dotrzykali, i wybrali Rusinów.

Ale zaledwo stanęli w Wiedniu i w Radzie Państwa, Rusini zapomnieli o słowie i o przyrzeczeniach, Polakom na każdym kroku i przy każdym głosowaniu szkodzili, a trzymali z niemiecką większością, która wszystkim krajom i ludom Państwa austriackiego nie chciała przyznać żadnych praw i swobód, jakie się każdemu narodowi należą i są do jego bytu konieczne.

Ówczesna Rada Państwa ciągnęła się bardzo długo, sejmy nie miały się kiedy odbywać: u nas był jeden tylko króciutki w roku 1863. Potem Cesarz widząc że taka Rada Państwa nic dobrego nie sprawi, i że potrzeba innej sprawiedliwszej, rozwiązał ją, a że wkrótce potem wypadła wojna z Prusami, więc Rady Państwa nie zwolywano przez półtora roku zgórą.

Sejmy odbywały się swoim porządkiem, a że galicyjski oddawna nie był zasiadał, więc w roku 1865 na 66 trwał długo, prawie pół roku. Nie było sprawy, przy której Rusini nie byliby podnosili albo skarg niesłusznych na ucisk i prześladowanie, którego niby doznawali od Polaków — (mówili naprzykład, że księża ruscy odrabiali pańszczyznę Lachom!) albo niesłusznych żądań. Dawniej wspominali tylko o podziale Galicyi na dwa kraje: teraz zrobili z tego zupełny wniosek, i chcieli żeby Sejm to uchwalił. Prosta rzecz, że taki podział byłby niebezpieczny nietylko dla nas i dla Rusinów, ale dla całego Państwa, bo to Państwo ma sąsiada, który oddawna mówi, że wszystko co ruskie to powinno do niego należeć: więc gdyby jedna część Galicyi miała się stać wyłącznie ruską, to z tamtej strony tem śmielej ostrzonoby na nią zęby. We wszystkich zaś sprawach, w których Sejm domagał się zbawiennych i ko-

niecznych zmian i ulg dla kraju (naprzykład języka polskiego w szkołach, w sądach i w urzędach, zamiast niemieckiego który wtedy jeszcze był), to Rusini przeskadzali jak tylko mogli, i zawsze przeciw takim wnioskom głosowali. Prowadził ich wtedy ksiądz Kuziemski, ten sam co później został biskupem Chelmskim i o którym mówiliśmy już wyżej, i ksiądz Naumowicz, o którym jeszcze mówić nam przyjdzie.

Było tak ciągle przez lat parę. Niespodziewanie na Sejmie roku 1869, poseł Ławrowski, Rusin, i Wice-Marszałek Sejmu, oświadczył, że Rusini chcą zgody z Polakami i podawał warunki tej zgody: a zapewniał, że Rusini ani wiary ani Państwa odstępować nie chcą, że katolikami są, i zostaną. Po długich latach czynnej nieprzyjaźni Rusinów, nie mogli Polacy w skutku jednej mowy uwierzyć odrazu w ich lepsze uczucia i zamiary: ale byliby popełnili błąd wielki, gdyby taką sposobność pogodzenia się, choćby nie całkiem pewną, byli odrzucili. Tego też nie zrobili. Sejm polecił Wydziałowi krajowemu, żeby zwoławszy do rady poważnych ludzi z Polaków i z Rusinów, rozważył te warunki ugody, żeby rozpoznał, które z nich są słuszne i dobre a które nie, i żeby potem Sejmowi zdał z nich sprawę. A tymczasem, mówili Polacy, będziemy patrzeć i uważać. Jeżeli Rusini w Sejmie, w swoich książkach, w swoich pismach, będą się z nami obchodzili inaczej jak dotąd, to będzie w tem jakiś dowód, że chcą zgody naprawdę: i że jej chce nie pan Ławrowski sam jeden, ale oni wszyscy a przynajmniej wielu. Ale właśnie pokazało się inaczej. W postępowaniu Rusinów nie zmieniło się nic: chyba to jedno że zawzięciej niż przedtem na nas uderzali. Trudno więc było

uwierzyć, iżby szczerze zgody z nami pragnęli. A gdy niedługo potem umarł p. Ławrowski, który o tej zgodzie szczerze myślał, nie było już więcej mowy o jego wniosku.

Stawał się więc ten wzajemny stosunek Polaków i Rusinów coraz gorszym. Po jednej stronie nienawiść coraz wyraźniejsza, po drugiej coraz większe niedowierzanie. Do tego niedowierzania przybył powód nowy a najsilniejszy, kiedy zaczęło się prześladowanie Unitów w Chełmskiem i na Podlasiu. Księża ruscy z Galicyi tam sprowadzeni, i sami bez wahania przechodzili na schyzmę, i rządowi rosyjskiemu z niegodziwą gorliwością pomagali do prześladowania ludu, do gwałtów i okrucieństw, które opisaliśmy wyżej. Cóż innego można było o takich myśleć, jak że są zdrajcami i wiary swojej, i swoich owieczek, i Rusi. Kiedy zaś pod rządem rosyjskim działy się takie rzeczy straszne, kiedy lała się krew ludu ruskiego, to Rusini galicyjscy nigdy ani w Sejmie, ani po za Sejmem, ani w mowie, ani w piśmie, nie użalili się nad tymi swoimi braćmi, nie oburzyli się na te okrucieństwa. Na mniemany ucisk Rusinów przez Polaków skarżyli się bez miary i bez końca: na straszne prześladowanie Rusinów przez Moskalki milczeli, nie podnieśli ani jednej skargi. Wtedy oczywiście każdy pomyśleć musiał, że te prześladowania oni chyba uważali za dobre: że chcą, iżby Rusini z Unitów stali się schyzmatykami a z Rusinów Moskalkami, i że gdyby mogli, toby sami tak przeszli na inną wiarę i przystali do innego narodu, jak to zrobili na nieszczęście ich księży, co własnymi rękami zabili i pogrzebali Unię na Podlasiu i w Chełmszczyźnie. A kiedy nieszczęśliwi księża unicy, przez Rosyę wygnani za

to, że swojej wiary odstąpić nie chcieli, chronili się do Galicyi z żonami i dziećmi i żyć nie mieli z czego, to utrzymanie jakie takie obmyślali im Biskupi łacińscy, albo świeccy przychodzili w pomoc składkami, ale bardzo rzadko zdarzyło się, żeby od Rusinów który dostał jaką ubogą posiadłość i utrzymanie.

To wszystko wskazywało, że duch tego narodu znacznie się był zepsuł. Zyskali Rusini wiele przez te wszystkie lata, uczyli się dużo i pilnie w szkołach, wielu z nich zajęło miejsca w urzędach i w sądach, napisali i wydali wiele książek, język swój wyrobili na piśmienny — (na te książki, i na teatr ruski Sejm dawał i zawsze daje zapomogę), zrobili wielkie postępy pod różnemi względami, ale ich usposobienie nie było dobre. Chęć rozwijania swojej narodowości ruskiej była u wielu szczerą, ale połączona z nienawiścią względem drugich ludzi, z obojętnością dla wiary a często z zupełnem niedowiarstwem, dobrych skutków wydać nie mogła, i zamiast Rusinów uszlachetnić, ona wielu z nich psuła. Inni znowu z tej nienawiści do Polaków a obojętności dla wiary, otwarcie mówili, że ich prawdziwą ojczyzną jest Rosya, a ich kościołem schyzma. Między ludem krążyli często (i dotąd krążą) ludzie, którzy takie nauki różnoszą, Bóg wie przez kogo nadsłani i opłacani; a ich pisma i książki powtarzały to samo nieznacznie ale ustawicznie, żeby lud do takich wyobrażeń przyzwyczaić i przygotować. Odznaczało się i dotąd odznacza takimi złemi zamiarami jedno ich stowarzyszenie, od założyciela swego nazwane Towarzystwem Kaczkowskiego, które w Kołomyi wydaje książki i rozrzuca je po kraju. W książkach tych bywa zwykle na początku (dla zamydlenia oczów) ja-

kieś kilka słów o wierności i przywiązaniu do Cesarza i Austrii, a dalej nietylko potwarze na Polaków i podżeganie do nienawiści, ale ponętne a kłamliwe wiadomości o Rosyi, jakie tam życie błogie, jaki dostatek, jaka sprawiedliwość! aby czytelnik miał już sam z tego miarkować, że tam niby lepiej daleko niż tu, i że dopiero byłoby nam dobrze, gdybyśmy się pod rosyjskie panowanie dostali.

A my cóżeśmy mieli na to radzić? Rady nie było, bo Bóg jeden może zmienić ludzkie sumienie i wolę. Musieliśmy więc cierpliwie znosić, starać się dobrimi pismami i książkami naprawiać ile się dało to złe jakie oni swemi przewrotnemi robili, w Sejmie odpierać ich niesprawiedliwe zarzuty, kiedy się skarżyli na uciśki i krzywdy jakich od nas doznają — (jakich naprawdę niema): dbać o to troskliwie, żeby właśnie nie skrzywdzić ich w niczem i nie naruszyć nie z tego co im prawo przyznaje. To jest wszystko, cośmy robić mogli, i to robiliśmy zawsze. Prócz tego spróbowano jednego środka, na los szczęścia: może się uda. Ksiądz Waleryan Kalinka, ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców, kapłan gorliwy, a znakomity pisarz i obywatel, miał pomysł, żeby założyć we Lwowie dom, w którym chowałiby się młodzi Rusini. Wychowanie odbieraliby czysto i ściśle ruskie: język, nabożeństwo, nauki, wszystko miało być ruskie. Ale mieli być chowani w duchu katolickim, w przywiązaniu do Kościoła; a przez dobre obchodzenie się i opiekę, przez ciągłe stosunki z księżami, którzy na Polaków przerabiać ich nie myśleli, możeby z czasem oduczyli się tej nienawiści do nas. Pomysł ten podobał się bardzo i w Wiedniu, i w Rzymie. Ojciec św. i Cesarz, sami zachęcali księdza Kalin-

kę, żeby taki dom założył. Sejm przyszedł mu z pomocą, i dotąd co roku daje zapomogę temu zakładowi: resztę kosztów opłacają składki, a w najmniejszej części rodzice uczniów, jeżeli płacić chcą i mogą. Zakład stanął i utrzymuje się dość pomyślnie: ale, kto go szkuluje i szkodzi mu jak może? Rusini. Dlaczego? bo jak mówili, ten zakład ma im dzieci przerabiać na Lachów. Komisye sejmowe sprawdzały czy tak jest: i posłowie ruscy sami musieli przyznać, że wszystko odbywa się po rusku, że chłopcy chodzą do szkoły ruskiej, że nikt nie myśli o tem, by ich polszczyć. A więc o co chodziło, i dlaczego te gniewy? O to podobno, że dzieci chowają się tam po katolicku. Jeden z Rusinów poufnie w rozmowie dał się z tem słyszeć na Sejmie. Pytany dlaczego tak narzeka na ten zakład, który ruskie dzieci wychowuje ucziwie, uczy dobrze, a bardzo tanio lub całkiem za darmo, odpowiedział, że „choć oni Rusina-„mi zostaną, to dla nas będą straceni, bo się do kato-„lickiej wiary przywiążą“.

Zaszły w końcu takie zdarzenia, które już jawnie przed całym światem dowiodły, jakie zamiary kryły się pod temi słowami i skargami o mniemanym ucisku Rusinów w Galicyi. Był pewien pan Adolf Dobrzański, Rusin, wysłużony urzędnik austriacki, dość wysoki na wet, mieszkający na Węgrzech blisko galicyjskiej granicy. Jego córka, pani Hrabarowa, mieszkała we Lwowie: syn, Mirosław Dobrzański, był w służbie rosyjskiej, ale przejeżdżał się ustawicznie między Kijowem, Wilnem, Warszawą a Lwowem. Policya spostrzegła, że u tej pani Hrabarowej schodzą się często ludzie podejrzani, zwróciła na nich uwagę, i wpadła na trop zupełnego spisku, którego celem było oderwanie Galicyi od

Austrii, a przyłączenie jej do Rosyi. Przy rewizyi w mieszkaniu pani Hrabarawej znalazły się liczne na to dowody: listy (niektóre z pieniędzmi, druki przeznaczone do rozszerzania między ludem i t. d.). Wyniknął z tego proces, który wykazał, że oskarżeni znosili się z rosyjskimi stowarzyszeniami, których celem jest zabór wszystkich krajów słowiańskich przez Rosyę, że odbierali na ten cel znaczne z Rosyi fundusze, że przez pisma i książki starali się wpajać w Rusinów to przekonanie, że powinni połączyć się z Rosyą i przejść na schyzmę. Pomędzy czterema skazanymi w tym procesie był ksiądz Naumowicz, niegdyś poseł, i jeden z przywódców ruskich na Sejmie.

Ale zdarzyło się coś jeszcze gorszego niż spisek. Pewnego razu, cała jedna wieś, Hniliczki, oświadczyła w Starostwie, że chce przejść na prawosławie. Namówił ją do tego, i pierwszy to poświadczenie podpisał, proboszcz, ten sam ksiądz Naumowicz, o którym wspomnieliśmy wyżej jako o przewodniku posłów ruskich w Sejmie. Urzędy świeckie nie mogły im za to nic zrobić, skoro w Austrii prawo pozwala każdemu wyznawać religię, jaką chce, i zmieniać ją kiedy mu się podoba. Powstało tylko oburzenie i zgorszenie w całym kraju. Metropolita odebrał parafię księdzu Naumowiczowi: wieś, objaśniona o tem co zrobić chciała, dała się wstrzymać od złego czynu: ksiądz Naumowicz wyjechał do Kijowa, przeszedł uroczyście na schyzmę, i dostał jakąś wysoką godność i pensyę, i ztamtąd przez swoich powierników i przyjaciół dalej w Galicyi te same roboty prowadzi.

Niebezpieczeństwo grożące milionom dusz chrześcijańskich było oczywiste: kościół nie mógł tych dusz

zostawić bez obrony. Sądzone w Rzymie, i tak samo w Wiedniu, że pokusa fałszywej wiary szerzy się po części przez to, że arcybiskupia dyecezya lwowska jest bardzo wielka, zatem Arcybiskup nie może księży dobrze znać i często doglądać, a oni się przez to psują. Utworzył więc Ojciec św. ze zgodą Cesarza nową dyecezyę ruską w Stanisławowie, której pierwszym Biskupem jest najprzew. ksiądz Julian Pelesz. Ale na to zle tak daleko posunięte jeden środek nie wystarczy. Postarała się Stolica Apostolska o inny także. Najpewniejszym środkiem do utwierdzenia wiernych w przywiązaniu do Kościoła, i w należytem zrozumieniu religijnych obowiązków, jest dobre wychowanie młodych księży, w pobożności, gorliwości, i czystości obyczajów. W obrządku wschodnim niema wielu zakonów różnych jak w łacińskim: jest tylko jeden zakon Bazylikański, który niegdyś jaśniał wielkimi cnotami i naukami, dostarczał Unii najlepszych Biskupów, ale w naszym wieku zaniedbał się trochę i podupadł. Gdyby ten zakon do dawnej gorliwości i pilności przywrócić, to za jego przykładem, utwierdziłoby się w dobrem duchowieństwo świeckie, i z czasem wszyscy wierni.

Prowincyał Bazylianów, ksiądz Sarnicki, miał więc myśl, żeby wychowanie młodych kleryków Bazylikańskich powierzyć Jezuitom: Ojciec św. pozwolił, i wskutku tego nowicyat w klasztorze w Dobromilu oddany został pod kierunek Jezuitów, którzy tych przyszłych zakonników uczą i wychowują.

Na to znowu podnieśli Rusini wielkie skargi. To dla nich wielka (niby) krzywda i obraza, żeby zakon łaciński miał kształcić ich księży, oni tego nie potrzebują i nie chcą: Jezuici będą ich tylko na łacinników

i na Lachów przerabiać! We wszystkich pismach ruskich i we wszystkich rosyjskich także, rozwoziły się narzekania i użalania nad tymi nieszczęśliwymi, których prześladowuje Papież, Cesarz austriacki, i Polacy.

Dobre wychowanie księży, żeby byli wierni, pobożni, i rozumni, to u Moskali i ich stronników nazywa się prześladowaniem: ale Unici na Litwie i na Podlasiu dobrowolnie przeszli na prawosławie! Tam nie było prześladowania!

Taką to prawdą, i taką dobrą wiarą, walczy się z Kościołem katolickim i z Polakami.

Cóż w takich zdarzeniach mieli robić Polacy? jak się mieli zachować? Różni różnie myśleli i mówili. Byli tacy co mówili, że należy przyciągać do siebie Rusinów jak największą łagodnością i dobrocią, przystawać na wszystkie ich żądania, uchwalać w Sejmie wszystkie ich wnioski, a wtedy, jak się Rusini przekonają, że polska większość w Sejmie ustępuje im zawsze, i że wszystko, czego chcą od niej dostać mogą, to przestaną nas nas nienawidzić, a z czasem zaczną i kochać. W takim zdaniu było dobrego serca dużo, ale rozwagi i zastanowienia nie wiele. Kiedy Rusini ciągnęli do innej wiary i innego Państwa, to nam sumienie i rozum mówiły, że powinniśmy być bardzo ostrożni, bo każdego nowego prawa, jakiegoby zyskali, mogą użyć na to, żeby jeszcze silniej jak dotąd robić to, co dla nas i dla całego Państwa niebezpieczne. Jeżeli mnie kto chce bić, to mu przecie nie będę na siebie dawał kija: toby nie była ani miłość chrześcijańska, ani miłość braterska, tylko nieroztropność.

Inni znowu, oburzeni na postępowanie Rusinów, utrzymywali, że trzeba im się opierać zawsze i we wszyst-

kiem, a nigdy i w niczem nie ustępować. Dowodzili, że lud ruski ani tej nienawiści do Polaków nie czuje, ani nie dba o te zmiany, jakich się domagają jego posłowie: że to kilkuset ludzi burzliwych i przewrotnych robi ten cały niepokój, a naród sam ani o niem nie wie, ani go nie pragnie. To jest prawda: ale tak znowu ostro postępować nie byłoby dobrze, bo naprzód między żądaniami Rusinów mogły być i słuszne, a takim zawsze należy uczynić zadość, a powtóre dlatego, że byłyby jeszcze większe skargi na polski ucisk, a różni nasi nieprzyjaciele udawaliby, że tym skargom wierzą, i mogłyby z tego wyniknąć nowe kłopoty i przykrości. Większość sejmowa tedy obrała drogę pośrednią, i tej się trzymała. W niczem Rusinów nie krzywdzić, przyznawać im zawsze odrazu w Sejmie wszystko to, do czego na moey ustaw mają prawo: ale do tych praw nowego nie dodawać nic, bo z pewnością użyliby tego na naszą szkodę. Tak robił Sejm przez te wszystkie lata, do ostatka. Posłowie ruscy co roku wychodzili z nowemi wnioskami, Sejm te wnioski rozstrzygał, uchwalał co było słuszne, resztę odrzucał. Skargi z tamtej strony były zawsze te same, tylko może coraz gwałtowniejsze. Czy były słuszne? to inna rzecz. Jednym z głównych niby dowodów tego upośledzenia i prześladowania Rusinów było to, że ludu ruskiego jest tak wiele, a ich w Sejmie stosunkowo tak mało. Któż temu winien? Lud na Rusi wybiera tak samo jak gdzieindziej: jeżeli wybiera często Polaków na posłów, to cóż na to poradzić? Wolno Polakom o wybór się starać, i wolno Rusinom Polaka wybrać. Jeżeli zaś tylu Polaków wybierają, to widać, że lud nie ma do nich tej nieufności i nienawiści, jaką mają ruscy księża, albo adwokaci, albo notaryusze, al-

bo sędziowie. Czasem znowu skarżyli się, że przy wyborach starostowie albo żandarmi dopuszczali się nadużyć: wtedy za każdym razem Rząd robił dokładne śledztwo, a najczęściej pokazało się, że jeżeli były bitki albo gwałty, to je właśnie Rusini robili. Gdzie zaś zdarzyło się istotnie jakie nadużycie, tam było z urzędu skarczone.

Drugim znowu głównym powodem do skarg były szkoły: że szkół ruskich za mało. Znowu nieprawda. Ustawa mówi, że każda gmina sama ma prawo stanowić o tem, czy dzieci mają się uczyć w polskim czy w ruskim języku. Gdzie więc gmina oświadczy, że chce szkoły ruskiej, tam szkoła jest ruską. Nie było przypadku, żeby się stało inaczej, i naprawdę mamy w kraju więcej szkół wiejskich ruskich aniżeli polskich. Co do szkół wyższych, gimnazyów, prawda że jest tylko jedno (we Lwowie), w którym wszystkie nauki przez wszystkie lata odbywają się po rusku: ale w miastach mniejszych, gdzie jest ludność i polska i ruska, a gimnazjum tylko jedno, jakże zrobić, żeby wszystkim dogodzić? Gdyby tam dawać naukę po rusku, to znowu narzekaliby Polacy. Poradził na to Sejm w ten sposób, iż uchwalił, że jeżeli w jakiej klasie gimnazyalnej znajdzie się dwudziestu pięciu chłopców, których rodzice zażądata, żeby oni uczyli się po rusku, to dla tych chłopców ma być otwarta klasa osobna, z ruskimi nauczycielami i nauką po rusku. Dotąd w jednym Przemyślu znalazła się potrzebna liczba rodziców, którzy takiej zmiany żądali, i tam też są przy gimnazjum takie osobne klasy ruskie.

Skargi więc słuszne nie były, krzywd i ucisku nie było, a skarżono się (jak to Polacy nieraz w Sej-

nie mówili) dlatego żeby skargami lud w niepokoju utrzymywać i w nienawiści utwierdzać. Przy ostatnich wyborach do Sejmu w roku 1889 zaszła ta nienawiść tak daleko, że w swoich odezwach do wyborców Rusini nazywali nas Polaków obcymi ludźmi, którzy na tej ziemi być nie powinni, i że wtedy dopiero będzie dobrze i spokój, kiedy wszyscy Polacy za San się wyniosą. Taką odezwę podpisał nawet ten Rusin, którego większość sejmowa na członka Wydziału krajowego wybrała.

Że po takiej odezwie w następnym Sejmie wzajemny stosunek był przykry, to nie dziwnego. Rusini byli gwałtowni jeszcze bardziej niż zwykle: Polacy byli do żywego dotknięci i oburzeni. Mimo to byli (z bardzo rzadkimi wyjątkami) spokojni, a pomimo że się świeżo na jednym z nich tak zawiedli, znowu Rusina (innego) do Wydziału krajowego wybrali.

Na samym końcu ostatniego Sejmu (1890) zaszedł wypadek niespodziewany, (o którym wspominaliśmy w pierwszym numerze *Krakusa*). Posłowie ruscy poróżnili się między sobą, i zaczęli występować jedni przeciwko drugim. Jedna strona, z panem Romańczukiem (profesorem gimnazjalnym we Lwowie) oświadczyła w Sejmie, że Rusini nie są i nie chcą być Polakami, ale że tak samo nie są i nie chcą być Moskalami: że są i chcą zawsze pozostać wiernymi katolikami: że tylko w Austrii i pod opieką Cesarza widzą bezpieczeństwo i przyszłość dla swego narodu, a każdego Rusina, któryby ciągnął do schyzmy i do Rosyi, uważają za zdrajcę.

Druga strona, w której imieniu przemawiał znowu pan Antoniewicz (profesor gimnazjalny z Przemyśla), mówiła o sobie, że ona także nie myśli o oderwaniu

Galicji od Państwa Austryackiego, że Cesarzowi jest wierna: ale nie chce mieć nic wspólnego z tymi Rusinami, którzy o jakiejś czystej Rusi mówią, a zostają w stosunkach z ludźmi, którzy z Francji, Szwajcaryi, i innych krajów usiłują szerzyć niepokój i nieporządek po całym świecie.

Oskarżali się więc nawzajem: jedni o pociąg do schyzmy i do Rosyi, drudzy o ukryte zamiary zaburzenia i nierządu.

Kiedy się tak w Sejmie otwarcie poróżnili, zabrał głos ksiądz Metropolita Arcybiskup lwowski Sembratowicz, i oświadczył w imieniu własnem i wszystkich biskupów ruskich, i duchowieństwa, że choćby im przyszło śmierć ponieść od jednościgo katolickiego Kościoła i od posłuszeństwa Głowie jego Papieżowi rzymskiemu nie odstąpią: że Cesarza i domu cesarskiego trzymają się wiernie i zawsze trzymać się będą: że o dobro i o sławę ruskiego ludu, o ich pomnożenie zawsze starać się będą, ale prawnemi tylko i godziwymi środkami, a gotowi będą zawsze pomagać do zgody między dwoma bratnimi narodami mieszkającymi na jednej ziemi.

Ten rozbrat między Rusinami świeckimi, a zwłaszcza to oświadczenie Biskupów, którzy w ten sposób objawili, że przyznają słuszność tej stronie, na której czele stoi pan Romańczuk, a stronę przeciwną zganili, to jest wypadek w naszym stosunku do Rusinów ważny. Rusini świeccy wyparli się publicznie rosyjskich i schyzmatyckich dążeń, a Biskupi swoim głosem poręczyli niejako za świeckich, że mówią szczerze i wiarygodnie. My zatem ani lekceważyć, ani odpychać tego nie możemy: bo jeżeli oni w tej sprawie

głównej mają dobre chęci i będą postępowali dobrze, to możemy i do stałej zgody z nimi z czasem dojść, i im jak sobie przez to lepszą przyszłość zapewnić. Rozumie się, że po tylu latach nieprzyjaźni, nie możemy na jedno słowo uwierzyć, że się u nich wszystko odrazu zmieniło. Biskupom powinniśmy wierzyć i wierzymy zupełnie: świeccy muszą nas jeszcze swoim postępowaniem przekonać, że się pozbywają tej ku nam nienawiści, jaką dotąd zawsze okazywali. Jeżeli naprzykład przestaną w swoich pismach o nas źle mówić, kłamliwe oskarżenia na nas rozszerzać: jeżeli w stosunkach sąsiedzkich, albo w Radach powiatowych, albo w Sejmie, okażą nam więcej życzliwości a mniej zawziętości niż dotąd, to będziemy mieli jakiś dowód ich szczerości i dobrej woli, i zaczniemy ufać. Dotąd, z radością musimy to wyznać, przy wyborach do Rady państwa, ta część Rusinów rzeczywiście dawnej niechęci nam nie okazywała i postępowwała zgodnie z Polakami. Zobaczymy, co będzie dalej.

Żądania swoje ogłosili oni w dziennikach, i na przyszłym Sejmie zapewne z nimi wystąpią. Roztrząsać te żądania teraz jeszcze nie pora. Do Sejmu będzie to należało rozpoznać, które z nich są zupełnie słuszne, a które mniej, które się dadzą wykonać, a które nie. Teraz tylko to jedno na pewno wiedzieć możemy, że jak my powinniśmy w tej sprawie postępować roztropnie a sprawiedliwie, żeby ani ich nie skrzywdzić, ani sobie szkody nie zrobić, tak oni znowu powinni starać się przekonać nas swoim zachowaniem, że nie są nam nieprzyjaciółmi, i wzbudzić w nas tę ufność, której dotąd zupełnej mieć do nich nie możemy.

Takie były, w krótkości tu opowiedziane dzieje Rusi, i jej z Polakami stosunki. Za dawnych czasów miała Polska tę względem Rusi zasługę, że jej przez długie wieki broniła od Tatarów i Turków, że ją — bez gwałtu i prześladowania — do prawdziwej wiary nawróciła, że ogromne a odłogiem leżące ziemie zaludniła, a przez to na pożytek ludzki obróciła, miasta zakładała, chwałę Bożą, oświatę ludzi, uprawę ziemi, daleko w te strony szerzyła. Winę zaś miała dawna Polska na Rusi naprzód tę, że nie dosyć pilnie i gorliwie dbała o to, by Rusinów do siebie przywiązać, że naprzykład ich Biskupów do swego senatu nie przepuściła, że niektórzy Polacy — (bo nie król i Rząd polski) — źle się z nimi obchodzili. Rusini pomścili się za to w dawnych czasach dwa razy, przez bunt Chmielnickiego i przez rzeź Humańską; zadali przez to Polsce krzywdę cięższą niż te jakich od niej doznali.

W naszych czasach my im nie robiliśmy krzywdy żadnej, oni nam robili dużo szkody. Nie zaczepialiśmy nigdy, broniliśmy tylko i siebie, i państwa do którego należymy, i Kościoła. Opieraliśmy się i działaliśmy przeciw nim dlatego, że to, co oni chcieli, było i niesprawiedliwe i niebezpieczne. Nie mogliśmy przecie pozwalać na to, żeby nas obcymi ludźmi nazywali i za San wypraszali, żeby do obcego Państwa i do obcego kościoła ciągnęli, więc staraliśmy się nie dopuszczać ich do większego znaczenia z obawy, żeby go na złe nie użyli. Oni do nas mieli (i zapewne dotąd mają) nienawiść: my do nich tylko niedowierzenie.

Tak stoimy względem siebie dziś. Co będzie dalej? Bóg raczy wiedzieć; ale to pewna, że zgoda i przyjaźń byłaby dla jednych i dla drugich wielkiem szczę-

ściem. Na jednej ziemi siedzimy, musimy na niej żyć obok siebie, a prawo do niej mamy i jedni i drudzy. Ich prawo jest to, że zajęli tę ziemię, kiedy jeszcze była pusta i niczyja, jakżeby im ją sam Pan Bóg był dał w posiadanie, a od tego czasu zawsze na niej siedzieli i zawsze swoim osobnym językiem mówili. Nasze znowu prawo jest to, żeśmy tę ziemię nie gwałtem i przemocą opanowali, ale ją przyłączyli do Polski częścią przez dziedziczne spadkowe prawo naszych królów, częścią na własne żądanie Rusinów: dalej to że bez nas byłaby ta ziemia stała się tatarską albo turecką (w małej części może węgierską), ale sama nie byłaby potrafiła obronić się i utrzymać. Biliśmy się na tej ziemi z Bisurmanami, przez całe wieki, za nią, za siebie za cały świat chrześcijański, i możemy powiedzieć bez przesady, że ona cała jak długa i szeroka, krwią polską jest przesiąknięta. Mamy dalej to prawo, że my także na niej siedzimy, a przez wieki naszego panowania z dzikiej i pustej przedtem zrobiliśmy ją ludną i uprawną, żeśmy jej nieśli i wiarę prawdziwą i oświatę. Nie jest więc Polak na Rusi obcym człowiekiem, nie jest jak ten co gdzieś na krótki czas mieszkanie najął a potem może wynieść się w świat gdzie zechce: zapuścił on w tę ziemię korzenie jak stare drzewo, i nie godzi się z niej go rugować, albo mówić, że się usunąć powinien. Na to prawo i Rusinów i Polaków jeden nastaje i gwałci je, Moskał, kiedy Polaków i katolików zmusza, żeby się z ziemi wyprzedawali i wynosili, a Rusinów gwałtem na swoją wiarę przeciąga, i własnym językiem mówić im nie pozwala. Jeżeli on na swoim postawi, to w końcu nie będzie na Rusi ani Polaków, ani Rusinów, tylko będą Rosyanie i Rosya.

Dlatego jeżeli chcemy jedni i drudzy żyć i utrzymać się na swojej ziemi, przy swojej wierze, przy swojej mowie, i przy swoich prawach, to powinniśmy wspierać się i pomagać sobie wzajemnie, a nie w zawiści patrzeć na siebie jak na nieprzyjaciół i robić sobie na złość. Te złe uczucia powinniśmy koniecznie dla wspólnego dobra, i dla dobra samej wiary św. i Kościoła w sobie zwyciężać.

My Polacy możemy podobno z czystym sumieniem o sobie powiedzieć, że Rusina szczerego katolika, i takiego, który do nas nie ma nienawiści, gotowiśmy zawsze kochać jak brata. U nich od niedawna wprawdzie, ale zaczynają przecie objawiać się lepsze uczucia. Może Bóg da, że się utrwałą, rozszerzą, i ta bolesna waśń domowa skończy się kiedyś spokojem pożądanym i zgodą szczerą na pomyślną przyszłość i Polski i Rusi, na dobry przykład ludziom, na pożytek Państwa, na chwałę Bożą, ubezpieczenie i pomnożenie wiary św., a na zawstydzenie jej nieprzyjaciół.



DK 508.7 .T3
O Rusi I Rusinach.

Stanford University Libraries



3 6105 041 457 222

DK
508.7
T3

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

APR 6 1975

APR 6 1975		
------------	--	--